Swój i obcy

opowiadania

Swój i obcy

opowiadania

Jelenia Góra – Wrocław 2016

Copyright by: Stowarzyszenie W Cieniu Lipy Czarnoleskiej, 2016

Nakład własny autorów

Wydawca:
Stowarzyszenie W Cieniu Lipy Czarnoleskiej

Redakcja:
Robert Bogusłowicz, Ewa Pelzer

Projekt okładki i stron:
Zofia Prysłopska

Zdjęcia :
www.freeimages.com – okładka i str. 3, 22, 28, 40
www.flickr.com – str. 10, 46, 50, 54, 58, 64, 68, 72, 82, 93, 102, 123, 132
Wikipedia – str. 114

Korekta:
Autorzy

Wydanie I

Nakład 200 egz.

ISBN 978 – 83 – 61133 – 51 – 3

Druk i oprawa:
GS MEDIA. SZYBKI DRUK CYFROWY
ul. Wałbrzyska 9e, 52 – 314 Wrocław
tel./fax (71) 788 27 99
e-mail: biuro@gsmedia.com.pl
www.gsmedia.com.pl

Zofia Prysłopska

O swoich i obcych refleksje autokrytyczne

W związku z przygotowywaniem niniejszego zbioru opowiadań i refleksji, zrobiłam wstępny porządek w moich opiniach na temat tego, co bliskie i co obce.

Być może, jest nas więcej takich, co błądzą tak jak ja, albo tak na przykład, jak Martin Heidegger.

Najpierw przypomnijmy sobie, skąd się wzięło to metafizyczne marzenie o otwartości na świat i braterstwie wszystkich ludzi?

Heidegger, i ja za nim w ciemno, postrzegaliśmy ludzką egzystencję na gruncie opozycji do świata obiektywnego i świata subiektywnego, M.H. wprowadził pojęcie określające egzystencję ludzką w świecie: „Byt – tu" (Dasein). A człowiek, istniejąc w swoim bycie, ma wiele możliwości wyboru, bo ma świadomość swego istnienia. Sam fakt znalezienia się tu, na tym świecie, w tym właśnie miejscu i czasie, w tej rodzinie, środowisku społecznym, nie wynika jednak ze świadomego wyboru, przeciwnie, istnienie zostało „narzucone z zewnątrz", jest ono z natury swej zupełnie przypadkowe i „absurdalne".

Po drugie, każdy człowiek musi współpracować z innymi. I po trzecie – człowiek idzie do śmierci.

Heidegger zjawiska i mechanizmy życia społecznego nazywa „się żyje". Najczęstszą formą naszej codzienności jest bierne adoptowanie się do środowiska, powtarzanie utrwalonych historycznie czynności, słów i gestów. Człowiek traci swoją własną, daną przy narodzinach indywidualność, oddaje się w niewolę anonimowej, obiegowej codzienności. Taki tradycyjny sposób bycia przyjmuje za „odwieczny" i „naturalny". Oszukuje się, że nie musi dokonywać własnych wyborów, ma wygodę i bezpieczeństwo na co dzień.

A człowiek, który ma samoświadomość, to ten, który nie przyjmuje bezwolnie ram „egzystencji" z zewnątrz, jego postanowienia są zawsze otwarte, nieuwarunkowane. Tyle filozof.

I na cóż przydaje się wykształcenie? W moim przypadku zwiodło mnie na manowce. Przyjęłam, że wartością etyczną i mądrością życiową jest nie dzielić ludzi na swoich i obcych. Należy być otwartym i nieuwarunkowanym. Mamy w ostatnich stu latach swobodny przepływ wiedzy, poglądów i sztuki, a to powoduje, że autor czy myśliciel na drugiej półkuli staje mi się bliski, swój. To, że nie jest blisko mnie, że nie mogę z nim zawiązać bezpośrednich, osobistych relacji, nie ma znaczenia. To jest ktoś bliski i tak! Osobiste relacje nawiązuję duchowo i intelektualnie.

A inni, choć bliscy geograficznie i pokrewni genetycznie, bywają obcy.

Rozróżnienie takie oceniam dziś krytycznie. Otwartość na świat i bliskość ludzi odległych geograficznie uważam za błąd. Co mnie z nimi łączy? Tylko intelekt, a błądziłam, gdy uważałam, że to przypadek tylko, że są daleko w przestrzeni.

Przeprowadzam się od dziesiątków lat, nie mam swoich wokół siebie, bo ciągle jestem obca w miejscu zamieszkania. Co z tego, że mam bliskich w odległych miejscach?

Pamiętacie film pt. „Gliniarz w przedszkolu"? Arnold Schwarzenegger grał w nim pierwszoplanową rolę, film jest już kultowy. Akcja rozgrywa się głównie w przedszkolu. W przedszkolu, jak to w przedszkolu, były małe dzieci, a czego uczył ich Arnold, gdy groziło im niebezpieczeństwo ze strony mafii? Uczył ich, by nie ufały obcym. Dobrze wyszkolone przez wychowawcę, gdy zobaczyły obcego, wszystkie chórem wołały: Obcy! Obcy! I to im ratowało życie.

Jesteśmy czasem bezbronni jak małe dzieci, chyba też powinniśmy uważnie obserwować obcych, bo nie wiemy, jakie mają zamiary. Może są wrogami?

Umberto Eco, niedawno zmarły genialny włoski pisarz (też mi niesłusznie bliski) zauważał z pobłażliwą ironią, że największą wrogość czujemy do bliskiego sąsiada, jest to prawdziwa nienawiść, bo nienawiść do daleko mieszkającego wroga jest mniejsza, nie jest tak osobista.

Przebywając w Irlandii natknęłam się na smętną sprzedawczynię drobnych souvenirów, która pochodziła z Polski. Dookoła niej Irlandczycy świętowali Dzień Świętego Patryka, a ona mi mówiła, że ją to nie obchodzi, to nie jej święto, ona celebruje tylko polskie. Widocznie czuła się obco w Dublinie, nie była wśród swoich, może nie chciała być z Irlandczykami zbyt blisko? Byli dla niej zagrożeniem? Obcy kulturowo, więc ich odrzucała, ale czy tak się przejawia strach przed obcym?

Należałoby może przeanalizować problem na zimno, statystycznie.

Czy statystycznie zagrożeniem dla naszego życia i wolności są obcy czy swoi? Zdarzają się w rodzinach morderstwa, zdarzają się gwałty, ale być może, statystycznie, rodzina, czyli swoi, dają lepsze oparcie. Częściej niż obcy podadzą szklankę herbaty na starość, rzadziej okradną ci dom, jak wyjedziesz na urlop. Nie znam, z żalem muszę stwierdzić, obliczeń statystycznych. Czy więc są to tylko moje obserwacje, banały powtarzane za innymi? Czy tak jest naprawdę?

Szukając swoich daleko, być może zaniedbujemy więzi z bliskimi. Stracimy na tym? Tak przypuszczam.

Otwierając się na obcą kulturę, wyciągajmy ramiona do obcych, ale jak świat światem, każdy zamyka drzwi na klucz, gdy w pobliżu są obcy. I patrzy zza zasłonki, czy nie jest obiektem agresji.

I co Pan na to, Panie Heidegger? I co ty na to, Prysłopska?

Prysłopska odpowiada, że jakby się nie stało w przyszłości, nie żałuje swoich błędnych decyzji i wyborów intelektualnych, zwłaszcza swojej fascynacji obcymi.

Heidegger już nie odpowie. Umberto Eco także nie.

Niech jeszcze głos weźmie Eduardo Chillida, który zapisał kiedyś w notesie, że jesteśmy ziarnem, rzuconym w ziemię, na której rośniemy; przynależymy do swojej ziemi. Może powinien był zauważyć, że wiatr przenosi ziarna na wielkie odległości i zasiewa je w obcych krainach.

Swoje zdanie dołoży czytelnik, jeśli będzie uprzejmy, satysfakcjonując Autorów.

Robert Bogusłowicz

Gorzki smak truskawek

Kamil opowiedział mi tę historię w noc sylwestrową. Siedzieliśmy wtedy na lotnisku w Köln i straciliśmy już wszelką nadzieję na świętowanie z naszymi rodzinami ostatniego dnia roku. Na jego komórkę przyszedł właśnie SMS. Wyciągnął z kieszeni telefon, przeczytał wiadomość i uśmiechnął się.

– A jednak się zgodził, po tylu latach – powiedział do siebie.

Jeszcze chwilę milczeliśmy, przyglądając się zdenerwowanym podróżnym, których zamieć śnieżna unieruchomiła na tym samym co nas lotnisku, ale w przeciwieństwie do nich przyjęliśmy ten niespodziewany dopust boży ze stoickim spokojem. Ja jestem milczkiem i dobrym słuchaczem, znałem go już na tyle, że wiedziałem, iż za chwilę stanę się powiernikiem jednej z wielu historii jego życia. Opowiadał ciekawie, podczas gdy mnie, kiedy mam powiedzieć kilka zdań od siebie, głos grzęźnie w gardle i pojawia się w głowie pustka, za to on rzuca historiami jak z rękawa. Ja natomiast umiem, tak nieskromnie sądzę, przelać je na papier, czego on zupełnie nie potrafi, a jego listy do mnie w poczcie mailowej są krótkie, jednozdaniowe i suche jak wiór.

Czekałem i nie zawiodłem się, a za wielkim oknem w sali odlotów szalała zima, jakby za chwilę miał nadejść Armagedon.

– Otrzymałem właśnie wiadomość, że moja znajoma wyszła dziś za mąż, jej wybrankiem został Niemiec. Nie jest to chyba wielka sprawa, ale jak powiem, że znali się od dwudziestu lat i dopiero teraz on wyraził zgodę, sam przyznasz, że to trochę dziwne. Mieszkają około 15 kilometrów stąd, między Kolonią a Bonn. Znam te okolice, ponieważ onegdaj przyjeżdżałem tu na roboty, kiedy byłem jeszcze piękny, młody i krzepki – zaczął snuć swoją opowieść. – Moje pierwsze spotkanie z tym krajem było katastrofalne; po dwumiesięcznym pobycie u bauera

uważałem, że wszędzie są tylko tacy Niemcy lub im podobni. Bracia, u których pracowałem, mieli po 70 lat, jeden z nich to wypisz wymaluj Karol Fryderyk Gauss z banknotu 10 – markowego, chodził w mycce na głowie, przygarbiony, z długim nosem prawie przy samej ziemi. Gdy wracali późnym popołudniem z targu, liczyli pieniądze i wtedy z otwartych drzwi rozchodził się brzęk monet.

Za drugim razem znalazłem pracę też u bauera, chociaż uważam takie określenie w przypadku Michała za obraźliwe, w rozumieniu, w jakim go my używamy. Ciężko pracował na roli, mieszkał sam w prawie rozpadającym się domu, do którego niekiedy zapraszał swoją przyjaciółkę; w młodości uprawiał wspinaczkę alpejską, zimą zaś, kiedy nie pracował na ojcowiźnie, jeździł po świecie. Był silny jak tur, nie pił alkoholu, jego spokój i rozsądek udzielał się otoczeniu, w czym był całkowitym zaprzeczeniem braci.

Po szkole przychodził do niego, wówczas jedenastoletni, Christian, którego nazywałem Heinzelmännchen, bo niewiele wzrostem i wyglądem odbiegał od kolońskiego krasnoludka. Z powodu jąkania bardziej mu odpowiadało towarzystwo dorosłych niż rówieśników. Christian kochał jazdę samochodami, a jedyną szansą, żeby zrealizować swoje marzenia w jego wieku, była praca u rolników. Wynajmował się u nich i objeżdżał na traktorze pola, przygotowując je pod uprawę i wykonywał wszystko, co było do zrobienia w gospodarstwie; prócz tego uczył się fachu rolniczego i zarabiał pieniądze, a była to druga rzecz, którą ubóstwiał. Nie wydawał ich na słodycze, tylko zbierał i chciał jak najszybciej dorosnąć. Jeżeli przy Michale mój stereotyp Niemca całkiem się łamał, to przy Christianie, jedenastolatku, kompletnie upadł. Obecnie jest sam sobie szefem, tak jak sobie wymarzył, pobudował magazyny i zakupił maszyny.

U Michała zamieszkał w sezonie Polak; nie pił alkoholu, nie odwiedzał upijających się wieczorami z tęsknoty za ojczyzną i rodziną innych rodaków w okolicy; za to jeździł do Kolonii i zwiedzał muzea. W tym przypadku to on został zaskoczony spotkaniem, odbiegającym od jego

wyobrażeń. Kamil podniósł butelkę wody i uśmiechnął się. Tym Polakiem byłem oczywiście ja, znalazłem u Michała przystań na dobrych kilka lat, nie płaciłem mu za mieszkanie w przyczepie campingowej, stojącej na podwórzu, za to w lipcu i sierpniu odpracowywałem kwaterę przy zbiorze słomy, ale muszę powiedzieć, że i za to mi płacił. Niewiele miał pracy dla mnie, uprawiał wyłącznie zboża i buraki.

Przyjeżdżałem do niego najczęściej wczesną wiosną i zostawałem do późnej jesieni. Zbiór truskawek zaczynał się pod koniec maja, a kończył w czerwcu. Wstawałem po trzeciej, jadłem śniadanie i nocą jechałem 10 kilometrów na rowerze, przy Renie na wale przeciwpowodziowym, aby po przyjeździe chwilę odpocząć, przebrać się i o godzinie 5,30 paść na kolana w polu. Praca kończyła się czasami o 18 wieczór, czasami nawet o 22, gdy trzeba było zbierać na następny dzień. Wracałem do domu o 23, kąpałem się, szedłem spać, by po kilku godzinach wstać o… i tak przez półtora miesiąca. Nie da się wytrzymać? Da się. Co prawda człowiek chodzi jak zombi, ale przecież nie trwa to wiecznie, prawda.

Pracowało nas w sezonie u Jozefa około dwudziestu Polaków. Jego kuzyn, też truskawkowiec, swoje zbiory oddawał do hurtowni. W sezonie zatrudniał ponad stu dwudziestu ludzi, nie tylko Polaków. Magazyn otoczony polem truskawek z kobietami i mężczyznami jako pracownikami sezonowymi przypominał kołchoz, dziś jest na to ładniejsze określenie – surwiwal. Taki zbieracz musiał mieć oprócz siły i energii trochę smykałki, aby przetrwać w tych ekstremalnych warunkach. Przecież rano trzeba coś zjeść, aby przetrzymać od 5,30 do popołudnia, zbierając owoce na akord. Gdy nadchodziła przerwa, należało szybko pomyśleć o wypoczynku i zjedzeniu ciepłego posiłku, bez niego długo się nie pociągnęło, a wieczorem, jeżeli się jeszcze zbierało, o myciu i spaniu. Ta ostatnia czynność raczej nie wchodzi w rachubę, przy tak dużej ilości ludzi, którzy piją do upadłego i rano wstają do ciężkiej pracy. Na szczęście dla organizmu ludzkiego, a na nieszczęście dla kasy, trwa to miesiąc.

Przy każdej takiej gromadzie ludzi musi być kierownik od czarnej roboty, u Engelsa tę funkcje spełniał Marcin. Jeszcze przed połączeniem się wschodnich i zachodnich Niemców przyjeżdżał do niego. Na tej robocie nieźle zarabiał, ale nie można mu było tego zazdrościć, z jednej strony miał Niemca, który nim pomiatał, z drugiej Polaków, którzy nie są wcale łatwi we współpracy. Ja wciąż szukałem takiego miejsca, gdzie ilość pracowników zmniejszyłaby się przynajmniej o jedną czwartą. U większości okolicznych bauerów pracowali już nasi krajanie i bardzo pilnowali swojego stanowiska pracy, jak nie dla siebie, to dla rodziny i znajomych. Z pewnością znalazłbym coś w górach, a nie tu na nizinach, gdzie krajobraz jest płaski jak stół, lecz moje możliwości ograniczał rower.

Jozef, a właściwie Jojo, bo tak nazwał go siostrzeniec i tak już zostało, miał ciężki charakter, najchętniej zapewne to sam by sadził, zbierał i sprzedawał truskawki, oczywiście to fikcja, najchętniej też mieszkałby odcięty od świata, bo nawet swoich ziomków trzymał na dystans. Zresztą uważał, że każdy człowiek i cały świat jest jemu wrogiem.

Z czasem przyzwyczaił się do widoku Polaków na swojej posesji: nie miał innego wyjścia. Niemka, z którą żył, właśnie go opuściła, ale jej syn Daniel z pierwszego małżeństwa przychodził często do przybranego ojca po pieniądze. Pracować nie lubił, w czym był całkowitym zaprzeczeniem Christiana. W sezonie ciężko mu to przychodziło, ale jeździł samochodem na stragany, rozwożąc truskawki, żeby zarobić: oczywiście nie cały dzień. Jego stosunek do nas był typowy; młody pracujący Niemiec patrzy z góry na nas roboli. Później wyjechał do Australii i tam został utrzymankiem starszej od siebie o dziesięć lat kobiety.

Jojo pracował od rana do wieczora. Jego jedyną pasją było polowanie i na to wydawał swoje ciężko zarobione pieniądze, jeździł więc po świecie i strzelał do zwierząt odpowiednich dla jego portfela. O polowaniach mógł rozmawiać godzinami. W domu, na ścianach wisiały łby ustrzelonych przez niego kozłów. Świata nie zwiedzał, przyjeżdżał na umówiony termin, skąd spod lotniska zabierał go przewodnik i jechał

z nim w dzicz. Tam prowadzony nocą do stanowiska czekał na ofiarę dzień, tydzień. Strzelał do niej, zabierał część trofeum i wracał do kraju. Wszystko.

Spod codziennej harówki uwalniał się tylko w soboty, pił wtedy w pobliskiej knajpie do upadłego.

Jeśli jego kuzyn odstawiał truskawki do hurtowni, to my zbieraliśmy czerwone złoto tylko na cztery stragany. Nawet przy tak niewielkiej ilości ludzi musi być ktoś, kto tym wszystkim koordynuje. U Jojo była to Agata. Przed nią zarządzała Polakami Bożena, oprócz tego do jej obowiązków należało opieranie, prasowanie, gotowanie dla szefa, ale za to nie miała płacone i w końcu się zbuntowała, proponując tę niewdzięczną pracę Agacie.

Agatę poznałem w jej drugim roku przy zbiorach. Pracowała z nami, potem wracała do domu i robiła wszystko to, czego już nie chciała robić jej poprzedniczka za darmo. Ponieważ dwie kobiety o silnych charakterach pod jednym dachem pozabijałby się, po trzech latach Jojo zrezygnował z Bożeny.

Agata na początku wierzyła, że jej pobyt w tym miejscu jest tylko chwilowy i jak zgromadzi odrobinę pieniędzy, wyjedzie do Francji, gdzie, jak słyszała, są większe możliwości zarobku, toteż uczyła się pilnie francuskiego. Akurat się rozwiodła, porzuciła prowadzenie knajpy gdzieś na Śląsku i przeprowadziła się na Pomorze; pozostawała na bezrobociu i mieszkała w małym mieszkaniu z dwiema córkami, pierworodnego oddała pod opiekę mężowi, co nie było najlepszym rozwiązaniem, jak okazało się później. Lubiła wypić, zabawić się, aby zapomnieć o smutkach i właśnie wkroczyła w wiek balzakowski, czyli znalazła się na rozdrożu. Bożena proponując jej pracę przy zbiorze truskawek, spodziewała się, że będzie miała kogoś, kim się dobrze steruje oraz więcej czasu poświęci kochankowi przywożonemu tu od lat. Nie spodziewała się żadnych komplikacji, przez lata zbierała dodatkową opłatę od sprowadzanych Polaków, co było i chyba wciąż jest stosowaną praktyką, a ponieważ tylko ona znała niemiecki, pozostawiała Jojo w nieświado-

mości. Układ ten funkcjonował przez lata. Jemu chodziło tylko o to, żeby machina pod nazwą zbiór truskawek funkcjonowała jak w zegarku. Przez chciwość i chłopa Bożena możliwość logicznego rozumowania miała więc organiczną.

Jeżeli komuś się wydaje, że w sezonie praca u mniejszego bauera to mniejszy młyn, to nic bardziej mylnego, owszem warunki są inne, ludzie mogą zjeść spokojnie wieczorem, mają zapewnioną kąpiel i pranie, ale poza tym to szaleństwo. Każdy patrzy ci na ręce, liczy twoje godziny i zarobek, pyta, czemu z nim nie pijesz i wchodzi w twoją mentalność z butami. Ja wolałem pozostać wolny i niezależny i nie chciałem się kisić w polskim rosole, ale zazdrościłem im, że nie muszą rozglądać się za robotą.

Agata wciąż szukała czegokolwiek i kiedy jej zaproponowano objęcie dodatkowej posady bez gratyfikacji, wzięła. Brała prawie wszystko, co wpadało jej w ręce, pracy się nie bała, wychodziła z założenia, po części, to także i moje myślenie, że nigdy nie wiadomo, co się z jednego drobiazgu urodzi. W drugim roku wyjechała później do Polski, ale wróciła wcześniej na przygotowanie prac polowych.

Na początku komunikacja między nią a Jojo zachodziła w znajomej formie Kali jeść, Kali pić i na migi. Przez pierwsze trzy lata terminowała i intensywnie uczyła się języka, aby przynajmniej w stopniu komunikacji porozumiewać się bez osób trzecich. Jojo zresztą jak tylko zauważył, że ona chętnie się uczy, bardzo się ucieszył, był bardzo cierpliwym nauczycielem; poprawiał ją, wyjaśniał i rozmawiał – przede wszystkim o polowaniach i truskawkach.

Agata zaczęła się bardziej szanować i przestała pić; głowę do trunków miała od niego mocniejszą, pracując w swojej knajpie musiała. W soboty, ilekroć Jojo zapraszał ją do Gaststätte, on jak zwykle dawał upust zmęczeniu, ona pozostawała trzeźwa. Bardzo dobrze gotowała, polskie przysłowie przez żołądek do serca, w tym punkcie sprawdziło się idealnie, po jakimś czasie zaczęli ze sobą sypiać, co wcale nie znaczy, że jej sytuacja się zmieniła. Jojo trzymał ją w niepewności, twier-

dził, że żadna kobieta do szczęścia nie jest mu potrzebna. Nie wiedział, kogo przyjmuje od swój dach, myślał z początku zapewne, że będzie to zwykła Polka do sprzątania i zmywania i czasami na noc. Tu jednak trafiła kosa na kamień. Agata miała silną osobowość, którą chowała pod płaszczem uległości i krok po kroku rozgrywała swoją partię szachów pod nazwą przyszłość. Była inteligentną kobietą, jednak to nie znaczy, że wszystko przebiegało tak, jak sobie zaplanowała, wiele razy ze łzami w oczach schodziła do piwnicy.

– Wytrzymam, mam dzieci, muszę wytrzymać – powtarzała zaciągając się papierosem.

Była jak lwica: poświęciłaby wszystko dla swoich dzieci, łącznie z życiem.

– Oczywiście one w tej chwili tego nie doceniają. Zrozumieją, jak będą miały swoje – rzuciła kiedyś na polu, gdy plewiliśmy pole truskawek.

Paliła jak smok, zresztą Jojo także, to ich łączyło, poza tym interesowała się wszystkim, co go otaczało, znała gatunki truskawek i poznawała je po smaku. Stopniowo w sezonie stawała się mu nieodzowna w prowadzeniu gospodarstwa, trzeba powiedzieć, że była uczciwa. Jojo znał ludzką naturę i gdy coś nie grało, bez wahania pozbywał się ludzi stwarzających problemy. Obserwował nas uważnie i wyciągał wnioski, kiedy czegoś nie rozumiał, pytał się Agaty. Nie okłamywała go, po prostu nie zawsze wyjawiała mu całą prawdę; pewnych spraw Niemiec nie zrozumie. Nie zrozumie, dlaczego będąc na zasiłku ludzie głodują, mówię o tych normalnych, a nie pijakach, dlaczego pracując uczciwie, nawet po roku nie wiedzą, jak zaplanować następny krok, bo tak często zmieniają się ustawy i rozporządzenia. Dla Niemca to niepojęte, ponieważ on może sobie zaprojektować przyszłość na kolejne lata. Agata odsłaniała mu świat polskiej mentalności, praw i ludzi.

Po następnych trzech latach Agata mówiła płynnie po niemiecku, mogła więc stanąć za ladą i sprzedawać truskawki. Co było dobre dla Jojo, ponieważ płacił jej stawkę jak dla Polaków, Niemcowi zaś trzy

razy tyle. Agata jeździła jego samochodem na zakupy, gotowała, prała, prasowała, ale wciąż nie była pewna swojej przyszłości. Gdy w końcu się zbuntowała i zaczęła szukać jakieś pracy w okolicy, usłyszała starą śpiewkę, że jemu żadna kobieta nie jest potrzebna i niech sobie szuka, ale gdy przyszło do realizacji planów, on się gniewał, ona wyjeżdżała do Polski i… wracała na wiosnę. Takie szarpanie trwało kilka lat. Wiele razy próbowała od niego odejść, zamienić na coś innego, ale racjonalnie myśląc, to na co, trzeba by wówczas zaczynać od początku, a to się wiąże z mniejszym i bardzo niepewnym dopływem gotówki, a tu już miała względną stabilizację i znała słabe strony Jojo. Z czasem lew stępił pazury, a ona przestała zwracać uwagę na jego porykiwania.

Powoli też poznawał jej rodzinę, ponieważ często przyjeżdżali razem na kilkanaście dni do Polski. Córki dorastały i miały swój świat, ale na życie i rachunki potrzebowały pieniędzy od matki. Dorota, starsza córka, miała już chłopaka, spokojnego, miłego domatora, który zamieszkał z nimi. Agata złapała pierwszy oddech, w domu pojawił się mężczyzna, czyli coś naprawi i pomaluje.

Jojo w końcu zgodził się też, żeby przyjechał na zbiór truskawek. Jeśli nawet chłopak nie znał języka i dopiero wchodził w ten świat, to był dla niej wielką pomocą psychiczną i finansową. Po dwóch latach przyjechała młodsza córka i wtedy Agata przestała szukać innych możliwości zarobku w okolicy i zrozumiała, że Jojo nie może się bez niej obejść. Zostawała też przez zimę już bez tej silnej tęsknicy na duszy, która łamie wielu słabiej odpornych psychicznie ludzi. Syn wciąż przysparzał jej kłopotów. Pewnego razu przywiozła go na sezon, ale pomimo iż go miała pod kontrolą, narobił jej wstydu, pijąc i kradnąc pieniądze. Od tego czasu trzymała go w Polsce.

Niemcy nabrali do niej szacunku, chociaż ona zdawała sobie sprawę, że zawsze będzie dla nich obca; nie dbała o to, gra toczyła się o najwyższą stawkę.

Ten szacunek brał się stąd, że niezależny i wyobcowany Jojo nie pragnął w swoim otoczeniu rodaków (prócz tego, żeby kupowali jego tru-

skawki), Agata również nie odczuwała takiej potrzeby, pragnęła tylko Jojo. Z czasem urodziło się, to co musiało urodzić – Kamil spojrzał na mnie filuternie – nie dziecko, jeżeli o tym myślisz, Jojo nie mógł mieć dzieci. Urodziło się uczucie, a jej wnuki to umocniły.

Gdy Dorota przyjeżdżała z dziećmi, a miała już ich dwójkę, Jojo szalał z radości na widok wnuków. Ich dwa światy zaczęły się już od dawna przenikać, przestali być dla siebie obcy. Zresztą jakby tak się zastanowić, to pasowali do siebie, on nerwus, aż kipiał w robocie, jakkolwiek miał wszystko starannie poukładane, a ona starała się poskromić ten jego żywioł, chociaż sama gotowała się w środku.

Głównym towarem były oczywiście truskawki, to z nich żył Jojo i żyli Polacy. Jojo, bo miał pieniądze na swoje polowania, Polacy, bo też mieli gotówkę na przetrwanianie zimy i nadzieję na powtórny przyjazd. U Jojo po truskawkach zbierało się jeszcze czerwone porzeczki, a potem fasolę: pracę miał do później jesieni, więc chociaż była ciężka, to znośna, bo po szaleńczym sezonie panował spokój. Zostawało tylko dziesięciu Polaków, więc nikt specjalnie nie wariował.

Kamil umilkł i spojrzał na okno. Za oknem sypnęło śniegiem i tak zawiało, że mieliśmy uczucie, iż podniósł się dach w hali odlotów, nigdy jeszcze nie widziałem takiej zamieci.

– Czułem, że i mój czas też powoli dobiega końca – odezwał po długiej chwili Kamil. – Mój Michał miał dwóch starszych braci. Najstarszy pracował jako mechanik samochodowy, drugi żył z renty po ojcowiźnie, jego pasją były podróże i fotografia. Za swoich szumnych lat przejechał na motocyklu Saharę, teraz już pasję wyładowywał na Europie, zjechał między innymi Rumunię, Węgry i Czechy, nawet kiedyś na motocyklu odwiedził mnie w Polsce. Pewnej wiosny zadzwonił do mnie i powiedział, że Michał nie żyje. Przyjechał traktorem na podwórze i nie wyłączył silnika. Traktor był kupiony zaledwie 2 lata wcześniej i cieszył się z niego jak dziecko. Posiadał klimę, bez czego przy zbiorze słomy nie można sobie wyobrazić i wyposażony był w ogromną ilość komputerowych przycisków. Czy Michał wsiadał, czy wysiadał z traktora, dość, że

tak niefortunnie stanął na stopniu, że kurtka wkręciła się w koło i wciągnęła go. Wielkie koło przejechało po nim w połowie. Zmarł szybko. – Kamil umilkł, patrzył na szalejącą wichurę, która śniegiem szarpała niczym dziecko białą firanką. – Ciągnik wciąż pracował i sąsiad za murem zainteresował się, bo zaczęło mu śmierdzieć spalinami. Najpierw dzwonił i bił pięściami w bramę, bez rezultatu, potem wszedł na dach i zobaczył leżącego Michała. Wezwano pogotowie i policję. Zakwalifikowano to jako nieszczęśliwy wypadek. Dla mnie był to znak, że czas coś zmienić w życiu. Przyjechałem jeszcze dwa razy i skończyłem. Dość często chodziłem na jego grób i zastanawiałem się, czy wszystko musiało się tak skończyć.

U Agaty też następowały zmiany, kiedyś dla żartów wspomniała o ślubie, Jojo oczywiście zaśpiewał po staremu, że jemu niepotrzebna jest żadna żona i kobieta. Ale staremu lwu też zaczęło brakować sił, stopniowo kończył uprawę porzeczek i fasoli. Grunty sprzedał po bardzo atrakcyjnej cenie, leżały w obrębie miasta i miały wysoką wartość, chętnych nie brakowało. Po pierwszym zawale poczuł oddech starości, przekroczył sześćdziesiątkę, Agata była od niego młodsza o piętnaście lat. Po roku zadzwoniła, że potrzebuje ludzi na sezon i Jojo powoli kończy interes z truskawkami, wspomniała też, że on się już tak nie broni przed ślubem, więc zaczęła przygotowywać potrzebne papiery. Nie mogłem przyjechać, miałem już stałą pracę.

Dwa lata temu, też w Sylwestra, zadzwoniła i złożyła mi życzenia. Jojo był już po drugim zawale i dwóch udarach mózgu. Wciąż miała problem z wymaganymi papierami, ale już niedługo powinna się skończyć ta udręka, wyjaśniła.

– Pośpiesz się, dopóki może jeszcze powiedzieć jo, jo, – poradziłem jej. W dialekcie kolońskim to znaczy, tak – wyjaśnił Kamil. – I dziś wysłała mi SMS z życzeniami i…

Wyjął komórkę, odszukał wiadomość i pokazał treść. Pod życzeniami noworocznymi przeczytałem „Nazywam się od dziś B”.

Do Polski nie wróci, tak już dawno postanowiła, tam nie jest uzna-

wana za swoją, tu w Niemczech zawsze będzie obca, zresztą w jej przypadku to nieważne, ma zapewniony spokój i byt na starość.

Kamil umilkł, rozejrzałem się wokół, podróżni, zmęczeni nerwowym czekaniem na uspokojenie się śnieżycy spali na podłodze i krzesłach. Nowy Rok nie rozpoczynał się spokojniej, szyby w oknach wciąż trzeszczały od naporu wiatru i śniegu. Zapowiadał się długi, zimowy dzień.

– Wiesz, wcale nie jestem śpiący – przerwał ciszę Kamil. – Opowiem ci inną, też niemiecką przygodę.

Krystyna Brzezińska

Z życia wzięte

Bohaterką mojego opowiadania jest rdzenna Polka, która studia ukończyła w Niemczech. Ładna, inteligentna, była chlubą rodziny. Nie narzekała na brak powodzenia wśród grona młodzieży. Nie miała jednak zbyt wiele czasu i pociągu do flirtów. Uczyła się pilnie i, mimo odległości od rodzinnego domu, była w częstym kontakcie ze swoimi najbliższymi.

Sytuacja diametralnie się zmieniła, kiedy wyjechała na praktykę do Francji, jeszcze dalej od swojego kraju i rodziny. Tam, w akademiku, towarzystwo było bardzo różne. Spotykała studentów z każdej strony świata. Ale jak to młodzi, z dala od kraju, od swoich rodzin, szybko nawiązywali ze sobą kontakty, operując może niezbyt poprawnym językiem. No i nie tylko przecież samą nauką się żyje. Młodzi relaksują się i muzyką, i tańcem, i wszelkimi innymi formami rozrywki. I właśnie na takich studenckich zabawach, gdzie muzyka zawsze ułatwia przekraczanie różnych barier, była studentka, która nie wiadomo dlaczego, właśnie do tego, do młodego Algierczyka nabrała większego zainteresowania. Dla niej samej było to wręcz niewyobrażalne, a ja myślę, że po prostu wiadomo, że kontrasty się przyciągają. Oboje dobrze władali językiem francuskim i to był plus. Poza tym jego ciemne oczy niezwykle wymownie patrzyły w jej błękitne.

On brunet, ona blondynka. Jego cera śniada, a jej mlecznobiała. I jak tu nie wierzyć w magię kontrastów? A mnie się wydaje, że w tym rysunku największy wpływ na to zauroczenie miały usta. Zmysłowe usta zawsze budzą największą pokusę. Bo to one właśnie dopełniły wyboru i spowodowały połączenie się tych dwojga na zawsze.

No i stało się to, co się stać musiało. Największe zaskoczenie było udziałem obojga rodziców tej pary. Jedni z kontynentu afrykańskiego,

drudzy z Europy. Było trochę utyskiwań, namowy do opamiętania się, ale jeszcze nikt nie wygrał z miłością, bo ona, jak wiadomo, nie ma granic. Nawet straż pożarna jak dotąd nie może ugasić jej płomienia.

W końcu musiały się spotkać dwa światy na ślubie młodej pary. I tylko wiązanka kwiatów panny młodej czule przemawiała swym pięknem, bo świat nasz jest dla wszystkich jednakowy, a obrączka bez wahania połączyła ich dłonie w trwałym związku międzynarodowym. Rodzinka to wszystko przełknęła przy weselnej biesiadzie.

Tak pierwsza część historii z życia wziętej byłaby zakończona, gdyby po roku na świat nie przyszedł zdrowy, dorodny owoc tej miłości. Wydarzenie to od razu przekreśliło wszelkie różnice i zdecydowanie pojednało dwa kontynenty świata. Chłopiec rósł zdrowo i beztrosko w samym środku Europy, to jest w Niemczech, tylko gorzej było z mową dziecka. W jakim języku z nim się porozumiewać? Psycholog radził, by dziecko najpierw opanowało języki rodziców, czyli polski i arabski. A w niemieckim przedszkolu, wśród rówieśników sam opanuje język tego kraju. Dość długo trwał proces uczenia się obu, a właściwie trzech języków, ale w końcu dziecko przyswoiło tę wielojęzyczną mowę.

Dalej wszystko poszło swoim torem. Kiedy malec poszedł do szkoły, w późniejszych latach doszła jeszcze nauka angielskiego i francuskiego. Już został kandydatem na poliglotę. A jeszcze później na wydziale urbanistyki wybranej uczelni rozwinął i pogłębił swoją techniczną wiedzę, pretendując do pozycji zdolnego naukowca.

Historia tej rodziny pobudziła mnie do różnych refleksji, między innymi na temat ewolucji inteligencji. Tak widzę proces życia na naszej planecie w kontekście rasowej obcości i tendencji do zbliżeń wspólnoty.

Wiadomo, że życie na naszej planecie podlega ewolucji. Naocznie to widać już od czasów zniesienia niewolnictwa Murzynów. Ludzkie rasy zaczynają się zbliżać do siebie, płodzić następne generacje i następuje ich wymieszanie. Dlaczego tak się dzieje? To natura przewodzi temu procesowi. Do czego zmierza? Zapewne do wyższego stopnia inteli-

gencji i rozwoju społeczeństwa na tyle, by móc tworzyć takie pojazdy kosmiczne, które by przez przestrzeń międzygwiezdną umożliwiły podbój Kosmosu w poszukiwaniu nowych światów, względnie tworzenia tam życia, bo przecież musimy liczyć się z tym, że nasza planeta wyczerpie swoje zasoby i nie sprosta potrzebom rosnącej masy ludzkości oraz innych stworzeń. Tak więc ci wszyscy obcy muszą stać się ,,sami swoi" i przyśpieszyć odkrywanie tajemnic Wszechświata.

Halina Burkowska

Pierwszy dzień Nowego Roku 1989

Wyjeżdżali do Niemiec. Po raz pierwszy wszyscy dostali paszporty i po załatwieniu wiz można było wyjechać. Oficjalnie jechali na urlop. Ale bilety wykupili do Bebry, pierwszej miejscowości w Zachodnich Niemczech. Ewa wiedziała, że stamtąd odjeżdża pociąg do Friedlandu, gdzie znajdował się obóz dla uciekinierów lub, jak kto woli, przesiedleńców ze wschodu. Pociąg w Zgorzelcu odjeżdżał o godzinie 4 rano. Odprawa na granicy w Görlitz trwała dość długo. Mieli ze sobą również inne papiery, które mogły zdradzić prawdziwy cel podróży. Ale wszystko poszło gładko. W przedziale podróżowali z nimi Polak i Francuz, którzy przyjechali z kraju wina do Polski na urlop. Ale z wagonu restauracyjnego wracali z puszkami piwa. Ponieważ była noc, to po wypiciu kilku łyków zasypiali i piwo wypadało im z ręki, wylewając się na podłogę. Po kilku godzinach jazdy wszyscy siedzieli w przedziale w kałużach brunatnego płynu i w strasznym smrodzie. Ale jak tu kłócić się z rodakiem i przyjaznym Francuzem, zresztą gdy się obudzili, wyglądali jak z krzyża zdjęci, a Polak się żalił:

– Cholera, jak mnie boli głowa, a wie pani, moja żona jest Greczynką. Jak mnie w takim stanie zobaczy, to będzie się darła jak opętana – złapał się za głowę. – Pani nie wie, jak Greczynki potrafią wrzeszczeć.

Pociąg wlókł się niesamowicie. Trzęsło nim i trzepało na każdym zakręcie. Dzień był smętny i ponury, jak i nastroje obecnych w przedziale. Patrzyła w szybę i jej myśli odleciały daleko. Opuściła dom, który to dopiero co ukończyli, zostawiła w nim swoją córkę z zięciem i małym wnuczkiem, a przecież to ona powinna być w nim panią i gospodynią. Miała nawet wrażenie, że to nie powinno się wydarzyć. To nie ona powinna była wyjeżdżać. Uciekać.

Temu domowi oddała całe swoje serce i wiarę w przyszłość. Dawniej mieszkali w części mieszkalnej starego młyna, do którego dobudowano spichlerz. Gdy go kupili, nie miał dachu i okien, tylko trzy ściany, czwarta przylegała do młyna. Wcześniej wieszała tam bieliznę. Otwory po oknach wychodziły na południowy zachód i wpuszczały wiele słońca. Ponieważ mieszkali po stronie północnej, nieraz myślała: „Jaki tu byłby piękny pokój".

– Tam pod spodem jest żyła wodna. Ten młyn jest przeklęty – straszyła sąsiadka mieszkająca też w tym młynie, której w małżeństwie się nie układało.

Edek, mąż Ewy, chciał tam na parter przenieść swój warsztat naboi do syfonów, a piętro wyburzyć i przykryć dachem. Ale Ewa namówiła go, by na górnych piętrach zrobić remont i wyszykować dla nich mieszkanie.

No i zaczęli remontować, dobudowywać, poszerzać. Wszystkie pieniądze szły na budowę. Ale nie one sprawiały największe trudności. Zdobywanie materiałów to było istne polowanie. Z Niemiec zawsze przywoziła kawę, pończochy lub inne zagraniczne drobiazgi, wówczas w kraju nieosiągalne, a którymi przekupywano panie w magazynach z materiałami budowlanymi. Kafelki do łazienki dostali w trzech kolorach, ponieważ skończyła się dostawa, i aby to jakoś wyglądało na ścianie i podłodze, z majstrem układała wzór. Okna sprzedał im obcy facet po okazyjnej cenie. Potem się okazało, że były kradzione i wcale nie pasowały. Schodów na piętro nie można było skończyć, bo w całej Polsce zabrakło nakrętek do śrubek szóstek. A teraz to wszystko zostawia. Ale zostawia córce. Zostawia ten dom przez siebie urządzony, wyposażony we wszystko, czego dorobili się przez te dwadzieścia lat ich wspólnego życia. To wszystko, co przywieźli, „przytargali" przez granicę w Zgorzelcu, bo wielokrotnie wracając pociągiem z pracy w Niemczech, wysiadała w Görlitz i ze stacji pieszo przechodziła na polską stronę z walizkami pełnymi zakupionych lub podarowanych ciuchów albo innych, potrzebnych w nowym domu rzeczy.

Popatrzyła na męża. Spał tak samo jak towarzysze podróży po kilku piwach. Boże, jak im się tam ułoży? Przecież zdecydowali się wyjechać na stałe. To była jej decyzja. Zamknęła oczy i wróciła do swojego ukochanego domu i do wczorajszej sylwestrowej nocy. Owszem, bawiono się, ale nastrój był jak na pogrzebie. Przecież nazajutrz wyjeżdżali i nie wiadomo, kiedy wrócą i czy w ogóle zobaczy się ze starszą córką Renatą.

– Córuś, jak tylko się tam urządzimy, to ściągnę cię do nas. – Rzuciła tę obietnicę, ale wiedziała, że może być inaczej. Ile to rodzin się rozdzieliło. Bo przecież, jeżeli ktoś wyjechał i został nielegalnie na zachodzie, to cała rodzina miała zakaz opuszczania kraju.

– Fahrkarte, bitte – obudził ją głos konduktorki. Była bardzo nieprzyjazna, jak wszyscy ze strefy wschodnich Niemiec. Popatrzyła się na kałuże piwa na podłodze i z krótkim – Schweine – wyszła z przedziału.

Stukot pociągu, jadącego po szynach, wdzierał się w głowę natrętnym łup! stuk! łup! stuk! Chwilami wydawało się, że wagony rozlecą się lub przewrócą. Już dobrze zmierzchało, gdy dojechali do granicy RFN – NRD. I znowu dokładna kontrola, przeszukiwanie w pociągu wszystkich zakamarków przez biegające, zdenerwowane celniczki i warczące psy. Udzieliła się jej atmosfera duszącego strachu, tak jakby nagle znalazła się w odrętwiającej mazi.

– Oni wytwarzają takie specjalne pole magnetyczne – tłumaczył jej kiedyś znajomy.

Dwie godziny trzymano ich pociąg na granicy. Nad ranem dotarli do Bebry, a potem do Friedlandu. Wysiadający utworzyli na dworze długą kolejkę. Ewa z rodziną mieli wizę na stałe, więc po pobieżnym sprawdzeniu paszportów skierowano ich do osobnej kolejki. Tam czekali dłużej. Lidka, jej młodsza, dwunastoletnia córka, rozłożyła się na walizkach i zasnęła. „Jak to dobrze, że wzięłam ze sobą poduszkę" – pomyślała Ewa.

O godzinie dziesiątej przybył nareszcie odpowiedni urzędnik. Po krótkiej rozmowie o tym, skąd, po co i jaką mają tu rodzinę, kazano im zaczekać w barakach, aż po obiedzie autobus zawiezie ich na wyzna-

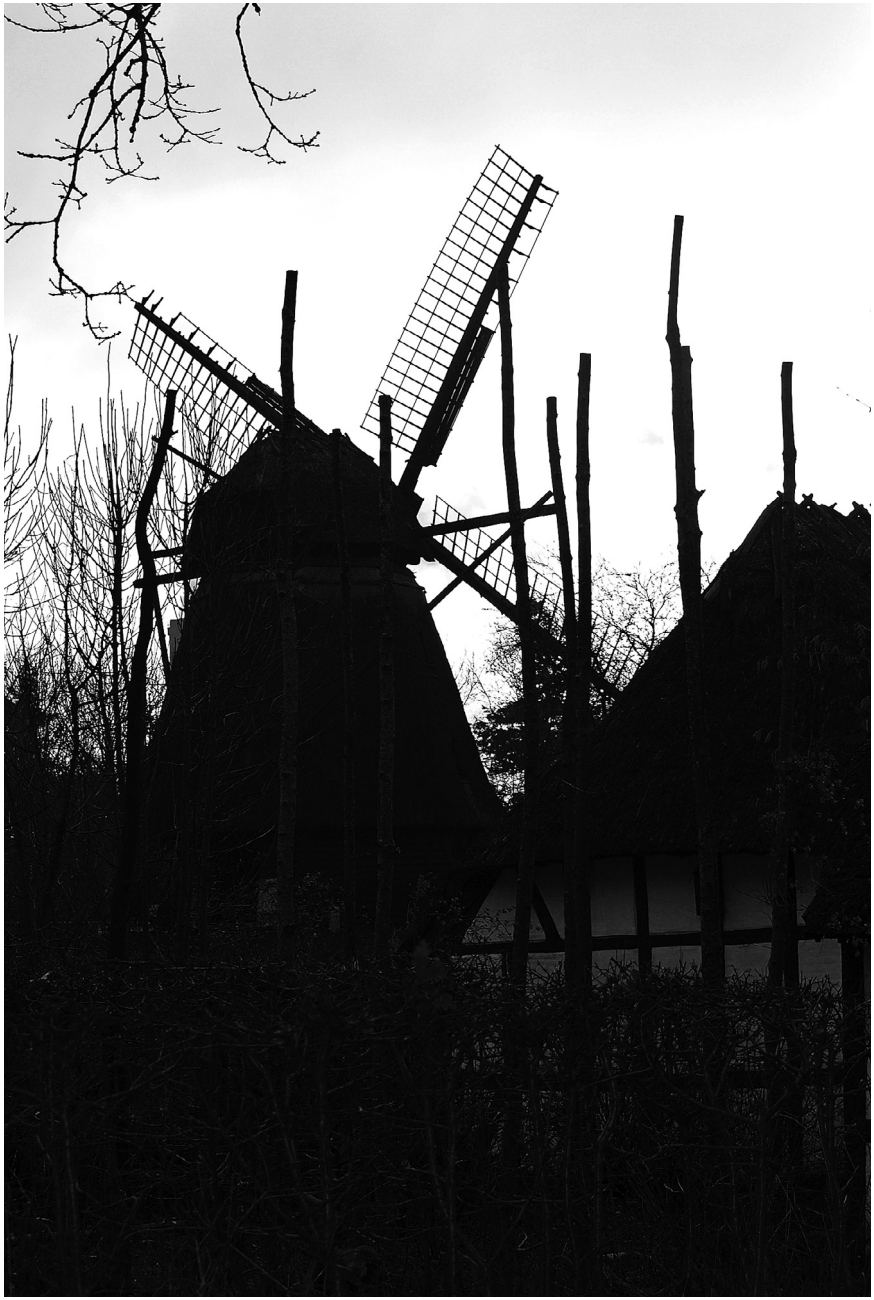

czone miejsce. Na razie nie wiadomo, dokąd. Próbowali choć na chwilę się zdrzemnąć. W starych i śmierdzących barakach stały ciasno poupychane piętrowe łóżka. Co chwilę ktoś wchodził i wychodził, o śnie można było tylko pomarzyć, ale przynajmniej kości dało się wyprostować. Na zewnątrz przewalała się cała masa ludzi. Wielu Polaków i przybyłych z byłego ZSRR Niemców. Nikt nigdy ich potem, nawet po dwudziestu latach, nie nazwał inaczej jak po polsku „Ruskie" albo po niemiecku „Russen".

Boże – pomyślała – przecież gdyby moi dziadkowie z mamą nie uciekli z tej Konstantynówki, leżącej koło Kołomyi, mogłam mieszkać do tej pory w Rosji albo na dalekiej Syberii, czy też w Kazachstanie. – Bo z tych Niemców pochodziła jej matka.

Niemcy ci osiedlili się na terenach Galicji, bo tak nazywano za czasów zaborów ziemie na zachodniej Ukrainie, gdy Maria Teresa, Cesarzowa Austrii i kuzynka Carowej Katarzyny, ze względu na przeludnienie i biedę na terenach Bawarii i Szwabii, pozwoliła na emigrację swojej ludności na tereny Rumuni, Ukrainy i Rosji. I tak przybyli tam jako nowi osiedleńcy, jako obcy, karczując lasy i orząc stepy. To wtedy zostali pozbawieni swych korzeni, z własnego wyboru skazali się na wieczną tułaczkę.

I ją przecież też znowu niesie w nieznane. Przeznaczenie?

W jedną noc roku 1939, w pośpiechu przed nadciągającymi wojskami rosyjskimi, mieszkańcy całej wsi opuścili swoje gospodarstwa i uciekli przez Rumunię na drugą stronę frontu. Przez okres wojny mieszkali na terenie Polski, w rejonie Kutna. W roku 1945 przyszedł znowu strach przed Rosjanami.

Czterech braci matki Ewy zginęło na wojnie. Otylia, matka Ewy, jako najmłodsza, była jeszcze niezamężna. Greta, najstarsza siostra mieszkała z matką, bo mąż był na wojnie. Maria wyszła za mąż i mieszkała w Myśliborzu, jakieś 100 km dalej. Gdy urodziła jej się trzecia córeczka, dostała wiadomość, że jej mąż zginął. Greta i Otylia zdecydowały się pojechać do Marysi. W tym czasie front się przesunął i wciął się klinem

przy Wale Pomorskim. Babcia uciekając wraz z innymi Niemcami na zachód, znalazła się w obozie pod Berlinem, a siostry po stronie zajętej przez wojska polskie; kobiety z jednej rodziny znalazły się po dwóch różnych stronach.

W Myśliborzu Otylia poznała swojego przyszłego męża.

Ojciec Ewy pochodził z błot Polesia. Urodził się na pograniczu dzisiejszej Białorusi i Ukrainy i tak naprawdę on sam nie wie, do którego z tych państw ta wioska teraz należy. Tak wiele opowiadał o ciężkim życiu, o tym, jak tam łowił ryby, których było w bród, o tym, jak kąpał się w Prypeci, że widać było, jak bardzo tęsknił do rodzinnych stron. Jego rodzina, tak jak i cała wieś została w 40 – tym roku wywieziona na Sybir: i tam się pogubili. Ojciec przybył wraz z transportem do Nowosybirska jesienią. Wypuszczono ich na pole ziemniaków, najpierw kazano im je zebrać, potem musieli wykopać dla siebie „ziemlanki", czyli dół w ziemi przykryty paroma deskami, które potem przysypał śnieg. W nich mieli spędzić całą zimę. Wielu starych ludzi i małych dzieci tej zimy nie przeżyło. Chociaż ojciec miał wtedy 20 lat i był silny, zdrowy, to i tak przepłacił tę pierwszą zimę odmrożeniem rąk i nóg.

Po wybudowaniu fabryki broni porozsyłano większość ludzi po różnych częściach Syberii. Ojciec trafił do wioski w okolicach Bajkału. Ten okres zawsze wspominał z sentymentem. Spotkał tam wspaniałych ludzi, o niezwykłym sercu i współczuciu dla obcego i nowo przybyłego, którzy dzielili się z nim ostatnim kawałkiem chleba. Ojciec zawsze powtarzał: „Nie sądź innych pochopnie, na zasadzie ich pochodzenia. Patrz, jakimi ludźmi oni są".

W 1943 roku, tak jak większość młodych Polaków, ojciec został przydzielony do Pierwszej Armii Wojska Polskiego. Bał się, bo nie wiedział, jak ta nowa podróż się dla niego skończy. Dostał rozkaz i miał się stawić w określonym miejscu. Dopiero po przyjeździe, gdy kazano się im rozebrać i iść do łaźni, strach opadł. Przecież Rosjanie nie kazaliby im się kąpać, gdyby mieli ich potem rozstrzelać. I tak przeszedł cały szlak bojowy od Lenino aż do Wału Pomorskiego, gdzie został ranny, a po re-

konwalescencji pełnił już służbę w wojskowych magazynach chemicznych w miejscowości Myślibórz. W kantynie wojskowej poznał Otylię, która pracowała jako kucharka. Pobrali się w 1945, gdy zwolniono go z wojska, i wyjechali do Świeradowa.

Marysia i Greta zostały w roku 1947 wysiedlone do Niemiec, ale ze swoją matką już się w obozie pod Berlinem nie spotkały. Babcia prawdopodobnie została zwabiona do wyjazdu na wschód, obietnicą powrotu na jej dawne ziemie, teraz leżące po ukraińskiej stronie. Ale nie trafiła do swego starego rodzinnego domu w Konstantynówce, wywieziono ją na Sybir.

– Boże ile tu tych ludzi – myślała Ewa, patrząc z niepokojem z okna na podwórze obozu, gdzie przy wejściu do wielkiej stołówki kłębił się tłum ludzi. Dołączyła do nich z rodziną, w środku znaleźli wolne miejsca i zjedli obiad, a ludzie wciąż wchodzili, zjadali posiłek i wychodzili, a na ich miejsce przybywali następni i następni… Po obiedzie wsiedli do podstawionego autobusu. Kierowca próbował ich zabawić, opisując mijaną okolicę. Krajobraz gór Harzu za oknem może był i ładny, ale zmęczenie podróżą i wrażeniami dało znać o sobie, zasnęli.

Miała 8 lat, gdy po raz pierwszy zobaczyła Niemcy. Pojechała tam razem z matką i najmłodszym wtedy bratem Robertem. Mama Ewy chciała koniecznie zobaczyć się ze swoją matką, która wróciła z Syberii. Nie zdążyła. Babcia Ewy zmarła przed ich przyjazdem. Kiedy bawiła się wtedy z innymi dziećmi, wcale nie przeszkadzało jej, że słabo rozumiała po niemiecku. W roku 1979 ponownie pojechała do Niemiec, chciała odwiedzić rodzinę, a właściwie to szukała jakiejś porady. Po śmierci mamy ojciec ożenił się powtórnie, a macocha dbała tylko o swoje dzieci, które zresztą były w wieku dzieci Ewy. Nigdy nie nawiązała bliższego kontaktu z macochą. W wieku 18 lat poszła z domu „goła i wesoła". Pracowała w sąsiedniej wsi w szkole jako nauczycielka. Uczyła dzieci, a także sama uzupełniała wykształcenie. Potem wyszła za mąż za Edka. Urodziła im się córeczka Renata. Zaczęła zaoczne studia we Wro-

cławiu. Skończyła je. Urodziła się druga córka Lidia i zaczął się kryzys w ich małżeństwie.

W Niemczech utrzymywała kontakt z ciotką Otylią, kuzynką mamy Ewy, mieszkającą w Hanowerze, z którą ostatni raz widziały się na pogrzebie mamy. Pisały do siebie, ale korespondencja z zachodem ślimaczyła się, listy potrafiły iść miesiącami. Ponieważ Ewa miała wizę na stałe i mogła o wiele łatwiej przekroczyć granicę na zachód niż inni, wsiadła więc do pociągu i pojechała. W Hanowerze zadzwoniła ze stacji do ciotki Otylii, ale telefon milczał. Od jej siostry ciotki Heleny dowiedziała się, że Otylia właśnie umarła i czekają z pogrzebem na rodzinę z Polski, Ewa oczywiście jest oczekiwana na ceremonii, ale nie może zostać na noc. Trzecia ciotka, rodzona siostra matki, Marysia zgodziła się ją przyjąć tylko do pogrzebu Otylii, ponieważ później wyjeżdżała na wczasy. Ewa na cmentarzu podziękowała Helenie za pomoc, ale ona chyba zrozumiała to opacznie:

– Spierdalaj! – Usłyszała po polsku Ewa.

U Marysi w domu zastanawiała się nad powrotem do Polski. Po trzech dniach pobytu w Niemczech! Właśnie wtedy przypadkowo czytając gazetę zobaczyła ogłoszenie: w jakiejś miejscowości szukali pomocy kuchennej i gwarantowali zakwaterowanie z wyżywieniem. ,,

– To okazja dla mnie – pomyślała i pokazała Marysi, która zaraz zadzwoniła pod podany niżej numer telefonu. Kazano im przyjechać.

Pracowała w tej knajpie prawie 8 tygodni, od rana do godz. 18, potem personel siadał na tzw. Stammtisch i… pił. Ewie żal było tracić pieniądze na wódkę, ale nie mogła przecież się izolować. Piło się tzw. rundę, jeden stawiał dla wszystkich, a potem następny i tak dochodziło czasem do 5 – 6 kieliszków po 25 gramów: niby niedużo, jak na cały wieczór.

Gospoda leżała w przepięknej okolicy w północnych Niemczech na terenie Lüneburger Heide (Lineburska Puszcza). Rosły tam na przeogromnych połaciach pól wrzosy, które z końcem sierpnia pokrywały się fioletem, między nimi czasami pojawił się krzak jałowca, czerwonej

jarzębiny lub białej brzozy. Tylko po pracy, wieczorami, miała okazję nacieszyć oczy pięknem krajobrazu, wtedy przy pełni księżyca atmosfera nabierała tajemniczości. Nieraz wydawało się jej, że nad wrzosowiskami latają wiedźmy na miotłach.

Pod koniec sierpnia obchodzono święto wrzosów i wybierano królową wrzosowisk. Zjeżdżało się wówczas wielu gości z całych Niemiec, aby podziwiać to widowisko i pejzaże. A one w kuchni, w sześć osób, przygotowywały dla nich obiady. Niekiedy przyjeżdżało do 8 autobusów, a w każdym przynajmniej po 80 osób, poza tym około 10 autobusów na kawę i ciasto. Podziwiała tę doskonałą organizację pracy w kuchni i w czasie wydawania posiłków.

Pod koniec dnia nie czuła nóg. Przyjechała w sandałkach na małym obcasie wiązanych samymi paskami. Po obiedzie musiała z koleżanką znosić do piwnicy olbrzymie gary z ugotowanymi ziemniakami lub z sosami, i często a to ziemniak wypadał i został rozdeptany, a to tłuszcz oblał drewniane schody. Nie raz, nie dwa poślizgnęła się i zjechała na dół swoją najwrażliwszą częścią ciała. Cud, że niczego sobie nie złamała.

We wrześniu, kiedy się trochę uspokoiło, szefowa wysłała ją do miasta, by w końcu kupiła sobie porządne buty do pracy, do pomocy przydzieliła jej koleżankę – kelnerkę. Na buty wydała aż 70 marek. W polskiej szkole jako nauczycielka zarabiała miesięcznie 75 marek, przeliczając markę po cenie czarnorynkowej, a tutaj prawie tyle zapłaciła za jedną parę butów, brzydkich i ciężkich jak nieszczęście, ale porządnych, ze stalką z przodu na wypadek, gdyby gar albo coś ciężkiego spadło na nogę.

W tym kraju nie czuła się obco, ale była inna, i oni o tym wiedzieli, tolerowali ją, bo była im po prostu potrzebna. Harowała za dwóch, a zarabiała połowę tego, co inni. Zagryzała wtedy zęby i mówiła do siebie: Dzisiaj jestem tutaj „garkotłukiem", mogą sobie te pijaczki kelnerki myśleć o mnie, co chcą, ale gdy przyjadę do Polski z zarobioną sumą, to ja będę się czuła jak bogata pani! Jeździła do tych Niemiec w każde wa-

kacje, z „szefostwem" nawet nawiązała się bliższa znajomość. W zimie przyjeżdżali często do Polski na urlop.

Autobus przywiózł ich do Osnabrück. Zakwaterowano ich w jednej z ogromnych sal po byłych koszarach wojskowych. W każdej sali stało 10 czteroosobowych piętrowych łóżek, ustawionych po dwa w rzędzie. Odstępy między nimi były tak małe, że gdy jedna osoba stała obok, to nikt inny nie mógł przejść. Potykano się o wystające spod łóżek walizki i torby, ale i tak większość z nich leżała przy swoich właścicielach. Przestrzeń intymna została w miarę zachowana, jeżeli rodzina składała się z czterech osób. Rodzina Ewy składała się tylko z trzech osób, więc ciągle kogoś im przydzielano na czwartego. Gdy był to mężczyzna, to spał z Edkiem na dolnych łóżkach, a Ewa z Lidką na górnych, gdy była to kobieta, to Ewa spała z nią na dole.

– Kim pani jest? Gdzie się pani urodziła? Kim są pani rodzice? – Najgorsze były ciągłe przesłuchania w biurze obozu. – Jak może pani to udokumentować?

Opowiadała wszystko tak, jak to słyszała od swojej mamy, najwięcej trudności miała z jej miejscem urodzenia. Konstantynówka, koło Kołomyi, większe miasto Stanisławów. Urzędnik popatrzył w papiery, znalazł kilka Konstantynówek, ale żadna nie leżała w okolicach Stanisławowa.

– Chyba coś kłamiecie, albo chcecie na podstawie fałszywych danych dostać się do Niemiec – prawie wrzeszczał. – Proszę przyjść jutro – powiedział w końcu, zmęczony tą całą sytuacją.

Do ich sali została przydzielona nowa rodzina z Polski, właśnie rozkładali się z dziećmi na łóżkach. Uwagę Ewy zwróciła mapa samochodowa wschodniej Europy. Poprosiła o nią i gorączkowo szukała Stanisławowa. Nie znalazła. Lecz za to w miejscu, gdzie powinien leżeć Stanisławów, znajdowało się miasto Iwano – Frankowsk! A skąd Ewa lub jej mama miały o tym wiedzieć. W szkole nie uczono historii o polskich ziemiach na wschodzie. Nawet, gdyby została tam jakaś ich rodzina, to i tak nie mieli przecież z nikim żadnego kontaktu.

I sprawa się wyjaśniła. Na drugi dzień zostali skierowani do miejsca stałego pobytu. Po długiej jeździe pociągiem z przesiadkami znaleźli się w Unterluess, gdzie na dworcu przywitali ich przedstawiciele gminy. Pokazali im przyszłe mieszkanie i zaprosili do gospody na obiad.

Zaczęło się oswajanie z obcą sytuacją, z obcymi ludźmi i udowadnianie, że jako Polacy nie kradną, nie kłamią i w ogóle są normalni. No i oswajanie się z sytuacją, że tak naprawdę skazują się na bycie obcymi wśród nich.

„Bo obcy to nie ten, który wczoraj przybył i jutro odchodzi. Obcy to ten, który dzisiaj przyszedł i zostaje".

Grażyna Domagalska

Zezowate spojrzenie

Dla jednych swój to ktoś, kogo dobrze znam i dobrze się czujemy w jego obecności. Dla innych, ktoś nowo poznany i od pierwszej chwili wzbudzający zaufanie, kiedy rozmowa między osobami układa się gładko. Kiedy wszyscy nadajemy na tej samej fali, jak mówi młodzież. Najbliżsi i najbardziej swoi to osoby z najbliższego otoczenia, rodzina, kuzynostwo, ciotki, wujkowie, koleżanki i koledzy z lat szkolnych, z pracy, sąsiedzi, znajomi itd. To są ci wszyscy, którzy w jakiś sposób są najbliżsi naszym wyobrażeniom, konwenansom. Nawet jeżeli kogoś nie lubimy, to i tak jest swój, bo mieści się w ramach naszych wyobrażeń, naszego schematu. Już od urodzenia uczymy się odróżniać najbliższe otoczenie. Uśmiechamy się na widok mamy, czy taty, ale kiedy podchodzi ktoś inny, płaczemy, krzywimy się, dając upust swojemu niezadowoleniu. Z biegiem lat zaczynamy odróżniać znajomych i nieznajomych, złych i dobrych.

Obcy to ktoś, kogo nie znamy ale i niepasujący do naszego stereotypu wyobraźni. Ktoś, kto wygląda inaczej od znanych nam osób. Ktoś, przy kim czujemy się niekomfortowo. Pamiętam z lat siedemdziesiątych film, w którym obsadzony został aktor, a jego postać poruszała się na wózku inwalidzkim. Jadąc autobusem do pracy usłyszałam rozmowę między dwiema starszymi paniami, które były oburzone, że pokazują w telewizji kogoś takiego, że jak tak można, to okropne. Były gorsze epitety, ale nie chcę ich tu przytaczać. Razem ze mną jechał kolega i też to słyszał i kiedy do autobusu wsiadła starsza pani i stanęła przy mnie licząc, że ustąpię jej miejsce i zapewne zrobiłabym to, ale kolega jakby wyczuł, że zaraz wstanę, zabronił mi mówiąc, że to jest miejsce dla mnie, a siedziałam na miejscu dla osób niepełnosprawnych. Powiedział to głośno, a ponieważ po mnie nie było nic widać, więc pani wy-

rzuciła z siebie potok brzydkich słów m.in. co za bezczelna młodzież, żadnego szacunku dla starszych itp. Ja nic się nie odezwałam, ale kiedy wysiedliśmy, nie omieszkałam powiedzieć kilku słów do kolegi, a on wówczas przypomniał mi o rozmowie pań na temat wyemitowanego filmu w telewizji. No cóż, musiałam przyznać mu rację. Poza tym ja dopiero zaczynałam wkraczać w to środowisku i poznawać osoby, które na co dzień nie były widoczne i znane większości społeczeństwa. Był to wówczas temat tabu. W szkole podstawowej spotkałam się po raz pierwszy z okrucieństwem fizycznym i psychicznym ze strony rówieśników, przede wszystkim chłopców, m.in. jeden z nich nazywał mnie Killderem lub Hitchcockiem. Do dzisiaj nie wiem, skąd te przezwiska. Kiedyś chciałam go zapytać, ale wyjechał na północ Polski, w rejon Pomorza i więcej go nie spotkałam. W tym okresie wypracowałam w sobie pewien system, w którym potrafiłam kilka godzin siedzieć bez ruchu, będąc ciałem w danej chwili na miejscu, ale duchem zupełnie gdzie indziej, w swoim iluzorycznym pięknym i szczęśliwym świecie. Ten czas niechętnie wspominam. W szkole średniej nie miałam już żadnych problemów, później w pracy także. Miałam koleżanki i kolegów, z którymi jeździłam na wczasy i turnusy rehabilitacyjne. Czułam się wspaniale, ale kiedy zobaczyłam po raz pierwszy osoby na wózkach, a do tego z innymi, dodatkowymi wadami rozwojowymi, to sama byłam w szoku i bardzo to odchorowałam. Później już było normalnie. Rozmowy i wspólne zabawy pozwoliły mi lepiej poznać plusy i minusy tego środowiska.

Pamiętam też spotkanie na Mazurach z koleżanką, która tak jak i znajoma, z którą przyjechałam, dostała skierowanie na te wczasy i miałyśmy razem zamieszkać w jednym pokoju. Kiedy weszłyśmy do pokoju, usłyszałyśmy: „Jak to dobrze, że jesteście, bo tu same kaleki…". Zamarłam w pierwszej chwili i nic się nie odezwałam, ale wieczorem, kiedy szykowałyśmy się do spania i koleżanka zobaczyła, że i my jesteśmy inwalidkami, zaczęła nas bardzo przepraszać. Wówczas zaczęłam jej tłumaczyć, że osoby niepełnosprawne, są takimi samymi ludźmi, że mają takie same pragnienia, potrzeby, takie same marze-

nia, podobne plany życiowe. Tak samo pragną kochać i być kochane. Zdaję sobie sprawę, że większości wydaje się to dziwne, niewiarygodne, ale tak jest. Są wśród nich osoby nieprzeciętne, o wielu talentach i pasjach. Faktem jest, że wówczas niewiele z nich mogło się kształcić, ale to dlatego, że mieli cięższy dostęp do edukacji. Przeważnie ich wykształcenie kończyło się na szkole podstawowej. Zero pomocy, nawet ze strony rodziny. W większości wegetowali w ośrodkach pomocy lub zamknięci w czterech ścianach własnego domu. Jeżeli już komuś udało się z niego wyrwać, to życie jego nie było usłane różami, ale znam takie osoby, którym się to powiodło i podziwiam ich samozaparcie i walkę z przeciwnościami. Znałam też osoby, które uprawiały różnego rodzaju dyscypliny sportowe i odnosiły sukcesy w tej dziedzinie. Wspominam nasze spotkania, rozmowy i zdziwienie, kiedy słyszeliśmy komentarze w rodzaju, ,,Czy nie lepiej siedzieć w domu, niż tak się męczyć?" lub ,,Czy nie szkoda wam reszty zdrowia?" itp. Mało kto mógł zrozumieć, ile to dla nich znaczy, nawet wówczas kiedy wkładali w to całą swoją siłę, czasem kosztem zdrowia. To było ponad, to było drugorzędne. Liczyło się być, zaistnieć, pokazać, że jak się bardzo chce, to można. A koleżanka słuchała i powiedziała jeszcze raz, że bardzo przeprasza. Odpowiedziałam jej, że powinna najpierw dobrze się zastanowić i zaobserwować, a nie mówić słów, które mogą bardzo kogoś zranić, oczywiście nieświadomie. Koleżanka, która była ze mną do końca wczasów, obraziła się na nią, a ja jej wybaczyłam i nasze stosunki były normalne. Po powrocie z wczasów już jej nie spotkałam mimo, że byłyśmy z jednej miejscowości. Dla tej koleżanki byłyśmy w pierwszym momencie swoje, ale później już było inaczej, nie pasowałyśmy do jej schematu i wyobrażeń, ponieważ nigdy nie spotkała się ze środowiskiem osób sprawnych inaczej.

W mojej pamięci utkwiło jeszcze coś, co mnie przeraziło, a zdarzyło się na jednym z turnusów rehabilitacyjnym. Jak zawsze były zajęcia sprawnościowe, zabawy, gimnastyka i w wolnych chwilach, spotkania i rozmowy. W pewnej chwili jeden z kolegów zaczął snuć marzenia, że

dobrze by było, gdyby dla nas utworzono osobne restauracje, kawiarnie, kluby, kina, teatry itp. Że wówczas on czułby się swobodnie, nie musiałby tłumaczyć się, dlaczego jest taki, a nie inny. Słuchałam i nie mogłam uwierzyć, nawet część z nas zaczęła mu przytakiwać, nawet wtrącać swoje uwagi. Trwało to trochę, aż nie wytrzymałam i wybuchnęłam. Zapytałam, czy sami słyszą to, co mówią, czy naprawdę tego chcą, czy chcą budować getta, tak?, Bo skoro wszystko ma być osobno, to co to ma być?. Zaległa cisza, a ja mówiłam, dawałam przykłady, pytałam, czy mamy być niewidzialni. Że wiem, wiem, ile to nas kosztuje, ale to od nas zależy, jak inni będą nas spostrzegać, czy jako nieszczęśliwe, zgorzkniałe osoby, które przepraszają, że w ogóle żyją, czy normalne, pełne życia, optymizmu, wiary w siebie i swoje możliwości. Bo skoro my użalając się nad sobą i chcemy izolacji od reszty świata, to znaczy, że brak nam wiary w siebie, brak radości życia. Skoro sami zamykamy się w sobie, to inni nie dotrą do nas. My musimy tego chcieć i wówczas będziemy traktowani jak wszyscy inni.

Miałam też pewien epizod w życiu, kiedy bawiłam się w przedszkolankę, a małe dzieci sąsiadów przychodziły na moje podwórko, ja byłam ich ciocią. To była zabawa w przedszkole, inne, nietypowe, ponieważ to dzieci uczyły mnie piosenek i wierszyków, opowiadały, co było w przedszkolu. Pewnego dnia przyszła babcia jednego z dzieci i powiedziała, żebym wygoniła z podwórka jej wnuka i wnuczkę sąsiadki, bo ona nie życzy sobie, żeby bawiły się z tą głupią. Tak nazwana przez nią dziewczynka pochodziła z bardzo biednej rodziny, gdzie mama jej była niepełnosprawna intelektualnie, mówiła niewyraźnie, więc i ona też tak mówiła, ale kiedy prosiłam, żeby powtarzała wyrazy, to powtarzała normalnie. Tłumaczyłam innym dzieciom, że ona jest normalną dziewczynką, że nie wolno jej dokuczać tylko dlatego, że mówi inaczej, że w przyszłości, w swoim dalszym życiu spotkają różne osoby i żeby dobrze się zastanowiły, zanim kogoś zaczną oceniać. Nikt tego dziecka nie wpuszczał na podwórko, tylko ja. Wówczas powiedziałam tej sąsiadce, że ja dzieci nie wyrzucę, przyszły dobrowolnie, ale skoro jej to

się nie podoba, to może sama je wyrzucić. Tak też zrobiła, choć nie bez oporów ze strony wnuka. Więcej nie przyszedł, ale często stał i patrzył z ulicy. Kiedy zapraszałam go, patrzył w stronę swojego domu, wiedziałam, że babcia mu zabroniła. Później dzieci dorosły, miały zajęcia szkolne, więcej obowiązków i przestały przychodzić, ale przez kilka lat wołały na mnie ciocia. W tej chwili mają już swoje rodziny i wiem, że ta dziewczynka, uważana za głupią, jest szczęśliwą mężatką, ma dwoje dzieci i mówi normalnie. Tu nasuwa się pytanie, czy ta niechęć do inności jest dziedziczona… ja uważam, że nie, to zależy od wychowania w rodzinie, która nie znając i nie rozumiejąc osób wyglądających inaczej, zachowujących się inaczej, woli ich unikać, a może po prostu boi się inności. Tacy ludzie czują się zagrożeni i wolą wpajać dzieciom i wnukom, żeby omijały niepełnosprawnych. To dzieci uczą się i naśladują dorosłych. Właśnie brak tolerancji ze strony innych powoduje, że jest, jak jest. Niby coś się robi w tym kierunku, ale to jest kropla w morzu. Więcej się mówi i obiecuje, a nic poza tym. My takim postępowaniem robimy krzywdę innym, ale jeszcze większą sobie, bo gdybyśmy chociaż troszeczkę chcieli poznać i zrozumieć innych, i tu nie chodzi tylko o osoby sprawne inaczej, ale o każdego z nas. Wolimy żyć w swoim hermetycznym świecie, bo tak nam wygodniej, a kiedy coś zaczyna się dziać inaczej, ktoś ,,obcy'' próbuje nas poznać, wytłumaczyć, nauczyć, to uciekamy, nie chcemy nawet słuchać tego, co ma nam do powiedzenia, pokazania, może czegoś nauczenia. Częściej mówimy, a po co to, co mamy, to wystarczy. Nieprawda, jesteśmy naprawdę ,,ubodzy'' w postrzeganiu otaczającego nas życia, świata, innych. Dlaczego mówi się, że podróże kształcą? No właśnie, dlaczego. Dzięki temu, że poznajemy inne kultury, innych ludzi, inne obyczaje. Jesteśmy niby tacy różni, a jednak tacy sami. Różnimy się kolorem skóry, miejscem zamieszkania, smakami kuchni, obyczajami itp. Nie chodzi tu o obce kraje, ale też o Polskę, która jest tak bardzo różnorodna pod względem krajobrazowym, kulturowym, kulinarnym… np. Pomorze, Mazury, Mazowsze, Wielkopolska, Małopolska itd.

Poza tym nasz kraj, świat, nasze życie, nasze otoczenie nie tylko jest piękne, wspaniałe czy idealne. Otaczają nas przedmioty i osoby, które są dalekie od ideału. Na pewno chcielibyśmy być piękni i wiecznie młodzi, i jeszcze bardziej bogaci, i przebywać w otoczeniu takich ludzi, ale tak nie jest i raczej nie ma szans, żeby było. Musimy przyjąć do wiadomości, że jesteśmy bardzo różni, że to wszystko, co nas otacza, też nie zawsze jest śliczne, barwne, idealne, ale na tym polega życie, które bez tego urozmaicenia, różnorodności, czasami nietypowe, ale jakże jest ciekawe. Tak jak jest dobro czy zło, piękność czy brzydota, normalność czy inność, światło czy mrok, miłość czy nienawiść itd. Do nas należy wybór, ale czy z niego skorzystamy… Większość, mam taką nadzieję, że tak.

Alfreda Dziedzic

Ta, która sieje DOBRO

Z domu – pałacu na wzgórzu w kalifornijskim mieście San Rafael roztacza się piękny widok na San Francisco, most Golden Gate i odległe okolice. W tym malowniczym, cudownym pałacu spotykają się znajomi i przyjaciele, by uczcić Merry Christmas, porozmawiać i zaśpiewać kolędy. Łączy ich wszystkich szkoła – miejsce nauki ich dzieci, a także działalność charytatywna na dalekim afrykańskim kontynencie. Nie ma wyszukanych kreacji, bufonady, zarozumiałości ani dającej się odczuć pychy, nikt nie zaznacza swojej wyższości nad innymi. Wszyscy są otwarci, przyjaźnie nastawieni wobec siebie, nikt nikogo nie pyta, jakiej jest narodowości i jak się znalazł w Kalifornii. Ta niezwykła atmosfera serdecznej bliskości jest zasługą skośnookiej Elsy Leung, a piękny pałac, który nas gości, stanowi jej własność. Zdumiewający jest los tej zamożnej, podziwianej kobiety

Elsa jako dwuletnia dziewczynka przyjechała z Chin ze swoimi rodzicami i pięciorgiem rodzeństwa do USA jako imigrantka. Rodzice jej byli prostymi ludźmi, ale chcieli zapewnić swoim dzieciom lepszą przyszłość, niż było to możliwe w komunistycznych Chinach. Osiedlili się w San Francisco. Było na początku ciężko. Musieli sobie radzić bez pieniędzy, dobrej pracy, ale jakoś wspólnie dawali sobie radę.

Elsa – dobra uczennica, a później studentka kalifornijskiego Uniwersytetu w Berkeley skończyła kierunek biznesu i zaczęła pracować dla sieci handlowej Macy's. Po kilku latach postanowiła otworzyć swoją własną firmę projekcji i produkcji ramek do obrazów stylizowanych na każdą okazję (Dzień Matki, święta, graduacje, śluby, urodziny itd). Poprzez swoje liczne kontakty w Chinach weszła we współpracę ze swoimi kuzynami w Tajwanie i tam otworzyła fabryki taniej produkcji tych

ram. W USA otworzyła biuro projektów i stylizacji, zatrudniając ponad 100 pracowników. Na początku jednak zatrudniała tych ludzi we własnym domu, bo trzeba było oszczędzać na wydatkach firmy.

Dzięki jej prężnej działalności i licznym kontaktom Elsa podpisała kilka dużych kontraktów z olbrzymimi domami handlowymi (Target, Costco, Macy's). Biznes szedł bardzo dobrze. Zatrudniała i Amerykanów, i Chińczyków, a sama po nocach pracowała, by firma prosperowała jak najlepiej. Często leciała do Hong Kongu, aby sprawdzić, jak tam funkcjonują należące do niej fabryki.

Działała również w organizacjach społecznych i w szkole swoich dzieci. Ponieważ miała duży dom, zawsze organizowała, na swój własny koszt, charytatywne imprezy i spotkania zbliżające ludzi. Była w radzie zarządu szkoły św. Marka i dyrektor zawsze się jej radził w sprawach przyjęcia ludzi do pracy lub uczniów do szkoły. Miała niespożytą energię i chciała wszędzie robić dobrze, jednocząc ludzi obok siebie.

Gdy szkoła św. Marka rozpoczęła współpracę ze szkołą w RPA, w Afryce, Elsa była pierwsza do sponsorowania tamtejszych nauczycieli i finansowania wyposażenia afrykańskich uczniów w podręczniki, przybory szkolne, a później w komputery. Dzięki jej inicjatywie w eSibonisweni, (RPA) w tej właśnie szkole powstała pierwsza biblioteka, z której korzystali również mieszkańcy pobliskich wiosek.

Następnym, sponsorowanym przez nią przedsięwzięciem było zaopatrzenie tych uczniów (1500 dziewcząt i chłopców) w tenisówki i inne obuwie.

Potem był następny projekt – budowa boiska do piłki nożnej i mniejszego – do koszykówki.

Kulminacją jej działania w eSibonisweni było zorganizowanie ciepłego posiłku dla uczniów i nauczycieli całej szkoły. Musiała borykać się z ogromem przeszkód administracyjnych, językowych i kulturowych. Wszystko finansowała sama, ale też zachęcała innych do współdziałania.

Dzięki własnej inicjatywie i funduszom zorganizowała przyjazd delegacji 20 uczniów i nauczycieli z RPA do szkoły św. Marka w San Rafael. Była to bardzo owocna wymiana, z której wszyscy dużo skorzystali. Wymagała niezwykłych zachodów, gdyż należało podróżnikom wyrobić niezbędne dokumenty, których do tej pory nie posiadali.

Poza jej działalnością na kontynencie afrykańskim, Elsa również pomagała nowo przyjezdnym imigrantom z Chin, którzy osiedlali się w San Francisco. Ułatwiała im znalezienie pracy, mieszkań, dostarczała żywność. Wszyscy ją znali: dyrektorzy szkół, przedsiębiorstw, sprzątaczki, uczniowie itp.

Elsa Leung zawsze zastanawiała się, jak, gdzie i komu może pomóc. Nigdy siebie nie eksponowała. Internetową korespondencje załatwiała po północy, gdy wszyscy inni spali. Uważała, że jeśli ktoś ma jakiekolwiek dary, musi się nimi dzielić i pomnażać je.

Jest bardzo wierzącą buddystką.

Pomaga wszystkim, obcym i swoim. Uważa, że obcy bardzo szybko staje się swoim. Człowiek człowiekowi jest potrzebny.

Ludzi takich jak Elsa, hojnych, bezinteresownych, działających szybko i skutecznie jest niewiele.

Gdy miała otrzymywać nagrody i podziękowania za swoją działalność – zawsze wysyła swoich reprezentantów, uznając, że to oni są zasłużeni. Ta dzielna Chinka idzie dalej i sieje DOBRO przez swoją pracę i działanie.

My natomiast mieszkamy w kraju jednolitym narodowościowo. Wszyscy jesteśmy stąd, a jeśli na Ziemie Zachodnie przybyliśmy częściowo z różnych regionów Polski przedwrześniowej, to łączyła nas jedna religia, podobne obyczaje i obrzędy. Wszyscy byliśmy swoi, nie było obcych, a jednak musieliśmy się integrować przez dziesięciolecia. Teraz sytuacja zmieniła się radykalnie. Na polskich uczelniach jest coraz więcej obcokrajowców, w niejednej rodzinie są już mieszane małżeństwa, a obcy przybliżają swoją kulturę. Nieoczekiwanie Europa przeżywa napływ tysięcy uchodźców, w większości z Syrii, ale nie tylko. Jej kraje, w tym Polska, stają wobec problemu przyjęcia wielkiej liczby emi-

grantów. Ta perspektywa napawa nas lękiem i niepokojem. Na świecie migracja ludności, w większości do Ameryki, trwa od stuleci, a ludzie już się do tego przyzwyczaili, nauczyli się tolerancji i współpracy, a imigrantów traktują jak swoich. Spójrzmy na ten nowy kontynent. Tu przybywali ludzie z różnych zakątków świata, a wszyscy, jak Elsa, byli obcy. Znaleźli się jednak ludzie, którzy pracowali nad integracją przybyszów. Ta integracja następuje na poziomie umysłów, serc i miłości. Trwało to długo i nadal trwa, ale tam się to udaje. Może należy brać przykład z tych społeczeństw?

Ja akurat mam możliwość każdego roku podróżować do Kalifornii, tam właśnie poznałam tę dzielną Chinkę. Bacznie obserwuję to zróżnicowane społeczeństwo, ucząc się od poznanych ludzi tolerancji i pokory. Większość tamtejszych niedawnych imigrantów, których tam spotykam, to naukowcy różnego stopnia, którzy tworzą dobra dla siebie i dla ludzkości. Tworzą zintegrowaną jedność, a mimo wszystko przy pierwszym spotkaniu dyskretnie pytają: „Skąd pochodzisz?", nawet jeśli ten ktoś już urodził się w USA, to jego rodowód ma swoje znaczenie, gdyż wnosi tutaj swoje wartości.

Dobrze jest, jeśli w każdej grupie społecznej znajdzie się lider, który ją zintegruje wokół celów, mających na względzie nie tylko dobro jednostki czy jej rodziny, ale też dobro ogółu. Takim liderem jest Elsa.

Patrzymy nieufnie na tych, którzy tak licznie przybywają do Europy, ale nie wiemy, ile wśród uchodźców znajdzie się osób, które, jak bohaterka tego opowiadania, będą z wytrwałością, pracowitością i odpowiedzialnością siały dobro dla wszystkich.

Anna Hercik

Pewna historia

Gdy Joe pojawiał się na ulicy, wzbudzał zainteresowanie. Choć nie było łatwo żyć w małym miasteczku, oswoił się z odmiennością. Dla tubylców zawsze był „asfaltem", „czarnuchem" lub „brudasem". Kiedyś poszedł do sklepu i w kolejce do kasy usłyszał żart, który na całe życie pozostanie w jego pamięci. Chłopaki, śmiejąc się, pytali, czym różni się murzyn od wiadra z gównem, nawet wtedy, gdy padła odpowiedź: „wiadrem", Joe nie dał się wyprowadzić z równowagi. Skończył medycynę w stolicy, miłość osiedliła go w małym miasteczku pod Poznaniem. Z jednej strony niesiony był na skrzydłach miłości do swojej pięknej żony Barbary, z drugiej doświadczany lawiną uwag, dokuczań i nieprzyjaznych spojrzeń.

Joe do Polski przybył na studia, medycyna od zawsze była jego pasją. Przepełniony miłością do dzieci, z wyboru został pediatrą. Na piątym roku poznał Basię. Zauroczeni sobą i zaabsorbowani wspólną pasją, spędzali ze sobą wiele czasu. Każdą wolną chwilę poświęcali poznawaniu siebie i zgłębianiu medycyny.

Wraz z kilkoma kolegami z roku chcieli otworzyć w Poznaniu klinikę. Mieli plany, marzenia, zapał, by nieść zdrowie dzieciom, by w zderzeniu dziecka z chorobą okryć je płaszczem troski, nadziei i ufności, że powrót do zdrowia jest kwestią czasu. Wyznaczyli sobie cel, do którego dążyli.

Po obronie dyplomu Joe w grupie najbliższych przyjaciół oświadczył się Basi. Nie wahała się nawet przez chwilę. Ich rodziny zaakceptowały wybór i nie wątpiły w powodzenie mieszanego małżeństwa. Gdyby nie otoczenie, start w małżeńskie życie białej i czarnego byłby rozpoczęciem małżeńskiej sielanki. Niestety, małomiasteczkowe towarzystwo, począwszy od najbliższych sąsiadów, przez dalszych znajomych, zawistnych i nieprzyjaznych ludzi, sprawiło, że Joe stał się te-

matem numer jeden wśród prowincjonalnej społeczności. Czarnoskóry nie martwił się opinią ludności. Wiedział, że będzie zjawiać się okazjonalnie w rodzinnym mieście Basi, tylko w niektóre weekendy i święta, ponieważ większość czasu miał spędzać w nowo otwartej klinice. Czas bardzo szybko zweryfikował ich pragnienia i plany.

W krótkim okresie dowiedzieli się o nieuleczalnej chorobie teściowej Joego. Barbara, jako jedynaczka, czuła zobowiązanie względem mamy. Małżonkowie postanowili zrezygnować z kariery zawodowej, a zamiast pochylać się nad chorymi dziećmi, przyszło im osiedlić się w rodzinnej mieścinie Basi, otaczając opieką matkę.

Joe nie miał życia wśród ogółu, nie został zaakceptowany. Podobno się tym nie martwił, dla niego była najważniejsza miłość Basi i to ona pozwalała mu mierzyć się z każdym dniem na nowo.

W tym dniu, w którym niesforne małolaty rzuciły dowcip w sklepowej kolejce, wydarzyło się coś bardzo ważnego. I tym razem Joe nie dał się sprowokować. Jak co dzień zapłacił za zrobione zakupy, pożegnał się i wyszedł. Zawsze chadzał do spożywczaka piechotą, tylko dwa skrzyżowania dzieliły go od domu, w którym mieszkał. Gdy mijał pierwsze skrzyżowanie, na horyzoncie pojawiło się następne. Jego wzrok przykuły dwie dziewczynki, które stały przed pasami. Joe szedł powoli w kierunku przejścia. Nagle zadzwonił telefon i w momencie, w którym szukał go w kieszeni płaszcza, usłyszał głośne hamowanie i przeraźliwy pisk opon jakiegoś auta.

Podniósł głowę i zobaczył leżącą dziewczynkę.

Nie oszczędzając sił pobiegł w jej stronę. Natychmiastowa reakcja, reanimacja i wykonanie podstawowych czynności pierwszej pomocy uratowały dziewczynkę. Jej stan był poważny, ale stabilny; gdyby nie czarnoskóry lekarz, Julka pożegnałby się z życiem. To wydarzenie natychmiast rozniosło się po miasteczku. Joe stał się bohaterem. Rodzice nie kryli wdzięczności, przechodnie przesyłali uśmiechy, ściskali jego dłonie. Wójt postarał się, by Joe został odznaczony medalem za ofiarność i odwagę, sam prezydent wręczył laur.

NORTH SHORE
89

Jedna sytuacja sprawiła, że człowiek, wyszydzany człowiek, stanął na piedestale małomiasteczkowej społeczności. Rodzice Julii w ramach wdzięczności stali się sponsorami prywatnej przychodni, która powstała w małej miejscowości pod Poznaniem. Do poradni, do czarnoskórego człowieka, przyjeżdżali rodzice z dziećmi z całej Wielkopolski.

Teresa Jurczyk

Wala lubi prasować

Wala poznała Wrocław przez te ostatnie lata jak własną kieszeń. Porusza się po mieście autobusami, tramwajami, dzwoni do drzwi pod różnymi adresami lub wyjmuje pęk kluczy i sama je otwiera. Klucze ma spięte w sześciu breloczkach. Każdy dostała w swoim czasie od innej pracodawczyni. Co która wracała z Turcji, Grecji, Wysp Kanaryjskich, a nawet z Brazylii czy Meksyku, to wręczała jej jakieś pamiątki, breloczki również. Ponieważ adresy ma rozłożone na sześć dni w tygodniu, używa najczęściej sześciu pęków kluczy, a niekiedy bierze do rąk siódmy, ostatni. Dzieje się tak wówczas, kiedy pani jakiegoś domu wyjeżdża na urlop, w sprawach biznesowych lub na weekend. Wtedy zleca Wali generalne sprzątanie. Wala ściera lub woskuje parkiety, odkurza wnętrza, wymiata pyły z regałów i serwantek, z garderoby wynosi na taras futra, kurtki i zapasową pościel dla gości, żeby na powietrzu wywiało z nich zapachy nikotyny, perfum, alkoholu i tego wszystkiego, co jest lotne, a lubi przywierać do rozmaitych rzeczy, zwłaszcza do tkanin.

Wala najbardziej lubi prasowanie. Układa suche pranie obok prasowalnicy, napełnia pojemnik w żelazku wodą, całe stanowisko pracy sytuuje naprzeciw telewizora. Nabrała takiej wprawy, że zerkając od czasu do czasu na obrus czy prześcieradło, może śledzić to, co dzieje się na ekranie. Bo kiedy jest sama w jakimś mieszkaniu, wybiera rosyjskojęzyczne albo ukraińskie kanały i wtedy czuje się, jak w domu. Ogląda filmy, słucha piosenek, dzienników, dyskusji. I jest, jak to się mówi, „w kursie dzieła".

Jest sprzątaczką, która nie narzeka na brak usług. Ma doskonałe referencje z najlepszych, najzamożniejszych domów. W tym kręgu znana jest jej krystaliczna uczciwość. Z pełnym zaufaniem można Wali powierzać klucze. Wie, czego nie wolno jej dotykać, z czym ma się obchodzić

ostrożnie, wie, że przeglądając pozostawione albumy z czasów, kiedy nie archiwizowało się zdjęć w zapisie cyfrowym, nie należy dotykać fotografii palcami w miejscu, gdzie utrwalony jest jakiś obraz, gdyż zostaną paskudne odciski linii papilarnych, a zdjęcia tak przeglądane robią się zatłuszczone od potu czy czegoś, co na przykład zostało na palcach po skonsumowaniu ciasteczek podanych do herbaty. Zaobserwowała, jak goście ostrożnie ujmują w dwa palce jedno czy drugie zdjęcie, trzymając tylko same brzegi, a kiedy jakiś parweniusz łapie fotografię bezmyślnie paluchami, pani domu ostrożnie, jak należy, wyjmuje fotkę z jego rąk nie komentując, nie pouczając, nawet nie zmieniając wyrazu twarzy, by nie urazić gościa.

Wala nie pracuje w Nowy Rok i w Dzień Zwycięstwa. To dla niej wielkie święta. Nieraz podśpiewuje w swoim języku „Oto Dzień Zwycięstwa, białe kwitną bzy…" Była pionierką, była komsomołką. Wyrosła na ateistkę wolną od wszelkich zabobonów i mitów. Wyjechała ze swojej wsi na Ukrainie, bo nie dało się dalej żyć. Wychodząc za mąż, fatalnie trafiła, jak zresztą niejedna jej koleżanka. Borys pił na umór, tracił pracę jedną po drugiej. Godzinami nie trzeźwiał, a w stanie upojenia, agresywny, bił żonę i synka. Nie chciała takiego męża i ojca dla swojego jedynaka Wołodzi. Rozwiodła się. Dziecko powierzyła matce, a sama wyjechała do Polski na zarobek. Miała jeden cel: dobrze wychować syna, wykształcić, zapewnić mu inny los. Wiedziała, że jej energiczna matka nie dopuści do kontaktów wnuczka z zięciem, którego i tak wywiało z ich okolicy.

Do Wrocławia przyjechała ze znajomą ze swojej wsi, która miała tyle zleceń, że już nie dawała sobie rady. Poręczyła za Walentynę, znalazła jej kwaterę, ułatwiła start na obczyźnie, nauczyła się poruszać po obcych ulicach, kupować i kasować bilety, robić zakupy w marketach.

Kiedy zbliżały się wspomniane święta, Wala oszczędzała każdy grosz, a potem kupowała produkty w promocji, odwiedzała lumpeksy, korzystała z sezonowych obniżek cen. Do swojej wsi wracała objuczona jak ich noworoczny Dzied Moroz. Wiedziała, że ci, co zostali, wy-

MICROSTEAM300
STAINLESS STEEL
Model:DW 2070
ELECTRIC IRON
U2
30/14

czekują jej przyjazdu. Obchodziła każdy dom we wsi, wszędzie zostawiała prezenty, a cokolwiek przywoziła, było przyjmowane z radością i wdzięcznością. Ilekroć wracała, jej chlebodawcy dopytywali się, co tam słychać na Ukrainie. Chcieli poznać realia, nastroje wprost z pierwszej ręki. Wala nie była skora do zwierzeń. Nauczyła się nikomu nie ufać. Kiedyś ich kołchoz jeszcze przed zmianami zorganizował wycieczkę na Krym. Jej serdeczna koleżanka uprzedziła, by Wala w drodze nie poruszała drastycznych, politycznych ani społecznych tematów, bo „gdzie dwoje, tam na pewno jeden z nich to kapitan Iwanow". Tak nazywano konfidentów, którzy inwigilowali wszystkie środowiska i donosili, gdzie trzeba.

Kiedy syn Wali poszedł na studia i poznał tam dziewczynę, która okazała się jego pierwszą miłością, po przyjeździe do swojej wsi Wala nie mogła Wołodzi poznać. Nie fizycznie, ale psychicznie i duchowo. Przez dziewczynę trafił do akademickiej grupy prawosławnej młodzieży. Dowiedział się, co to jest chrześcijaństwo, co to Biblia, poznał zupełnie inne formy bycia razem: medytację, modlitwę, śpiew, pielgrzymki, założyli kanonię tańca. Opowiedział matce o tym wszystkim z zapałem i żarliwością neofity. Właśnie przygotowywał się do chrztu.

Walentyna wróciła zszokowana.

Teraz ona we Wrocławiu zaczęła poznawać obcy sobie świat, pytała o treść obrazów na ścianach, o znaczenie krzyża, zaczęła wstępować do świątyń różnych wyznań. Teraz szuka ścieżki do innego świata, którą wcześniej od niej znalazł jej rodzony syn.

Lidia Katarzyna Komsa

Pierwsza pomoc

W mroźny zimowy poranek Teodozja wychodząc z domu zabrała z sobą kijki i powędrowała dziarsko drogą, usiłując skorygować krok z ruchem kończyn górnych. Nie było to zbytnio łatwe, ale znakomicie uporała się z problemem, kiedy tylko weszła na szosę. Przystanęła, jakby nasłuchując. Z daleka usłyszała przeraźliwy krzyk, przyspieszyła kroku, co pewien czas zatrzymując się, by sprecyzować kierunek. W pewnej chwili usłyszała wyraźne wołanie:

– O jery, o jery!!! Tośka, chodź prędzej, bo nie wytrzymam dłużej, już nie mam sił krzyczeć, tak boli… o jery, jery – wołanie powtórzyło się, lecz mniej nasilone.

To nikt inny tylko Jadźka – myśli Teodozja przyspieszając – cóż jej się przytrafiło? Przygląda się uważnie, a tam za stertą drewna zgromadzonego w parku leży jęcząca Jadźka.

– Co tu robisz? – Pyta z trwogą w głosie usiłując pomoc koleżance wstać, ale ta leży jak kłoda drewna i cicho szepcze:

– Skończył mi się węgiel, w chałupie zimno, wstałam raniutko, ubrałam się, założyłam mojego starego gumofilce i chciałam pójść wpierw do Władka, by mi przywiózł trochę węgla ze składu, ale od Helki dowiedziałam się, że Władek wyjechał gdzieś na roboty, jak prawie każdy z tej wiochy. Wiesz, telefon stacjonarny się rozładował, moja komórka też nie łapie, bo brak zasięgu, wiec wlazłam na tę stertę i chciałam przedzwonić do składu opału, i zamówić, może do wieczora by mi przywieźli, i… – tu przerwała spoglądając w górę spod nasuniętej czapki na oczy na stojąca nad nią przerażoną Tośkę – stało się, zachwiałam się, zakręciło mi się w głowie i zjechałam na dół po tych kłodach. Teraz nie mogę się ruszyć, wszystko boli, nawet gumofilce pospadały. Już myślałam, że nikt tu mnie nie znajdzie, ale ciebie zobaczyłam i dlatego tak się darłam – zamilkła.

– Wiesz co, już tyle nie gadaj, muszę ciebie jakoś stąd zabrać, niech pomyślę, pierwej myślałam o karetce ratunkowej, ale widzę, że ty całkiem chyba dobrze się masz, skoro tak dużo gadasz, wiesz, teraz wszystkie bezpodstawne wyjazdy „erki" kosztowne, musiałabyś ze dwie emerytury oddać, może jeszcze by zabrakło. Z głową widzę, że wszystko dobrze, normalnie kumasz, a rękoma możesz poruszać? – Spytała ze znawstwem w głosie.

– Potrafię – odpowiada Jadźka – tylko nie wiem, jak wstać, butów nie mam na nogach, ślisko, wszystko oblodzone i w krzyżu, i w biodrze coś boli, pewno coś połamałam, nie mogę nawet się przewrócić na bok i to najgorsze – uskarża się nadal pojękując.

Widać, że nieco ochłonęła z przerażenia, z trudem poprawiła moherową czapkę usiłując nadaremnie zmienić pozycje. Ubrana była w długi szary płaszcz chyba z pięciu zim, teraz ośnieżony zatracił prawie swój kolor, nogawki podniszczonych spodni zawinęły się prawie do kolan, tylko czerwone skarpety robione na drutach było widać, że z nowej wełny, nieprzetarte, jakby ubrała po raz pierwszy.

– Jadźka – stanowczo mówi Teodozja – ty już przestań biadolić. Dobrze, że żyjesz, to najważniejsze, zaraz coś zaradzę, nie jęcz już, a nogami ruszasz?

– Ano ruszam trochę, zobacz – z większym optymizmem w głosie odpowiada Jadźka poruszając nieznacznie stopami.

– To z tobą wcale nie jest tak źle, potłukłaś się i tyle, trzeba tylko jeszcze kogoś do pomocy, to zatargamy ciebie do domu, poleżysz, odpoczniesz i będzie dobrze, może lekarza rodzinnego wezwiemy i wystarczy. Idę teraz po pomoc, pod sklepem jak szłam stały jakieś chłopaki, jak poproszę, to pomogą, chyba nie odmówią – zaczęła powątpiewać – sama bym próbowała, aleś ty ciężka jak niejedna kłoda, nie dam rady, a do domu trzeba jeszcze po schodach… i tu kawał drogi – dodała – teraz chwilę jeszcze wytrzymaj, ja zaraz wracam.

– Dobrze Tośka, tylko wracaj, nie zostawiaj mnie czasem samej, bo ja strachliwa boję się samotności i psów bezpańskich, zresztą obcych,

to boję się najbardziej, niedawno chodził taki jeden, chyba żebrak o nocleg pytał…

– Dobra, opowiesz mi później, nie gadaj tyle, ja idę.

Teodozja z kijkami w dłoniach dziarsko ruszyła w drogę. Pod sklepem nikogo nie zastała, a w sklepie młodziutka ekspedientka żwawo obsługiwała klientów. Za stolikiem siedział mężczyzna, był ubrany w czapkę uszankę, niebieski szalik, starą watowaną kurtkę, dżinsowe spodnie i buty sznurowane do kostek, nie był tutejszy, ale w spojrzeniu miał coś, co zaintrygowało Teodozję. Chyba mu dobrze patrzy z oczu – oceniła.

– Potrzebuję pomocy – poprosiła z nadzieją w głosie zwracając się do nieznajomego – pomoże mi pan? Moja koleżanka upadła, nie może wstać, sama nie dam rady, potrzebna koniecznie męska pomoc.

Mężczyzna nic nie odpowiedział, ale na potwierdzenie skinął głową i wstał z krzesła.

– Niech pan idzie za mną, ja poprowadzę, to niedaleko, zaraz w parku.

– Vade mecum?[1] – Zapytał z uśmiechem.

– Nie wiem, o czym pan mówi, pan nietutejszy, to widać, my unikamy obcych, bo teraz taki dziwny świat… Bardzo dziwny – dodała, jakby nie zastanawiała się nawet nad tym, co mówi. Mężczyzna nic nie odpowiadał, podążał za nią krok w krok, uśmiechał się sam do siebie, usiłując wcisnąć marznące dłonie w kieszenie spodni.

W niespełna pięć minut byli na miejscu.

– A to pan – powiedziała zbolała Jadzia z żenadą w głosie – pamiętam pana, szukał pan noclegu, tak mówili mi inni, więc nawet nie otworzyłam drzwi, nie zapytałam, a może pan był głodny… Teraz mi bardzo głupio, wstyd jak nie wiem, ale niech pan mnie zrozumie, ja boję się obcych, zwłaszcza na tej wiosce, mało która kobieta zaufa, strach wpuścić pod dach.

– To już nieaktualne – odpowiedział mężczyzna – mam co jeść, mam też gdzie spać, ale co z panią? – Zapytał z wyczuwalną troską w głosie – gdzie boli?

---

[1] vade mecum – pójdź (chodź) za mną, Vademecum – to zbiór wiedzy wiadomości (słownik)

– O tutaj w biodrze, kiedy próbuję zgiąć kolano i gdzieś w krzyżu… okropnie, zresztą teraz to wszystko boli, czuję, że jest ze mną coraz gorzej.

Mężczyzna okiem znawcy przyjrzał się obolałej, coś pomruczał pod nosem i głośno, lecz stanowczo powiedział:

– Tutaj potrzebna karetka, trzeba do szpitala, koniecznie, nie zwlekajmy, ma pani dowód osobisty? Zna pani PESEL? – Zapytał.

– Tak, PESEL pamiętam na pamięć. Jak trzeba, to trzeba, Tośka zadzwoń, masz telefon? Swój gdzieś zgubiłam, pewnie gdzieś wpadł pomiędzy drewno. Jak ja się wam odwdzięczę?

– Już dzwonię Jadzia, skoro pan tak mówi, że trzeba do szpitala to może ma i rację, może masz coś połamane – to mówiąc pobiegła na plac zabaw i wchodząc na ławkę zadzwoniła na pogotowie.

Za niecały kwadrans podjechała karetka, lekarz z sanitariuszem wysunęli nosze, na które ostrożnie położyli obolałą kobietę. Zatrzasnęli drzwi. Lekarz zapytał:

– Kto wzywał karetkę? Jak to się stało?

– To ja panie doktorze, a właściwie to ten pan mi kazał, tak stanowczo, jak żołnierz i jeszcze powiedział, że to poważna sprawa, nie należy zwlekać – odpowiedziała chaotycznie Teodozja szukając wzrokiem nieznajomego – o… poszedł, szkoda, nawet nie wiem jak się nazywa, ani jak ma na imię, ubrany był w waciak, niebieski szalik panie doktorze i czapkę uszankę, i tak czasem dziwnie mówił coś do siebie, w obcym języku, jakby chciał koli, lecz ja nic z tego nie rozumiałam – już spokojniej bez entuzjazmu opowiadała.

– Już wiem, o kim pani mówi, ja znam tego człowieka, to mój profesor, lekarz kliniczny, wykładowca na uczelni, udzielił dobrej rady, czasem pomaga, stawia zawsze trafne diagnozy, tylko nie wiem, dlaczego tak się tuła… Chwilowo mieszka w schronisku. Jest tutaj obcym.

Teodozja ze zdumieniem, z niedowierzaniem słuchała, co mówił lekarz. On wsiadł do karetki, zatrzasnęły się drzwi. Karetka odjechała, zostawiając ślady kół, pozostawiając tutejszą z kijkami i Jadźki komórką leżącą w śniegu – sprawczynią całego zdarzenia.

Teodozja z wrażenia usiadła na pniu, była bardzo zmęczona, przyglądając się pozostawionym śladom odszukała ślady butów po obcym – jakby duch, dobry anioł, zniknął i zaraz śladów nawet nie będzie, bo śnieg zasypie, ciekawe co będzie z Jadzią – pomyślała ze smutkiem.

Jadźka po wstępnym badaniu została przetransportowana samolotem do specjalistycznej kliniki, w której wykonano szereg badań i zabieg chirurgiczny. W czasie upadku doszło do złamania kręgu i szyjki kości udowej, była długo rehabilitowana, miała szczęście, że odnalazła ją koleżanka, a ta spotkała obcego. Na wsi jeszcze długo ludzie opowiadali o całym zdarzeniu i lekarzu ze schroniska dla bezdomnych.

Janina Lozer

Serce Janka

Właściwie od samego urodzenia był wątłym dzieckiem, bez tych znamiennych dla noworodka dołeczków tu i tam, utworzonych w warstewce tłuszczyku, nagromadzonego podczas życia w łonie troskliwej mamy. Nie był okazem zdrowia, nic nie zapowiadało, że w przyszłości może przyjąć formę ,,wielkiego chłopa''. Ogromny wysiłek, który włożył, aby wydostać się na świat, zdeterminował najbliższe dni życia. Położna zdecydowała, że będzie to poród ,,z natury'', bo skąd mogła wiedzieć, że maleńkie serduszko rodzącego się Janka jest dziurawe? Maleństwo, wspomagane parciem mamy, z wielkim wysiłkiem przesuwało się w stronę światła. Wreszcie zebrało wszystkie siły, sprężyście zaparło się nóżkami i wylądowało na oczekujących dłoniach położnej. Ten desperacki wysiłek spowodował, że niezrośnięta do końca przegroda między dwiema komorami w serduszku Janka rozwarła się bardziej niż by chcieli oczekujący z miłością na jego narodziny, ciśnienia się wyrównały i serduszko stanęło. Położna silnym ruchem wstrząsnęła malcem, dość mocne klepnięcie w plecy przepchnęło krew dalej, płuca złapały oddech, a przerażone maleństwo rozpłakało się głośno. Mama zapłakała ze szczęścia.

Mijały dni i miesiące, a chłopiec o drobnej budowie i płytkim oddechu powoli, wciąż pod bacznym okiem rodziców, żył i dawał im ogrom szczęścia, pomimo porażającej obawy o każdy następny dzień jego życia. Parasol ochronny rozpostarty nad Jasiem, chociaż niewidoczny, przeszkadzał mu w swobodnym dzieciństwie. To dla niego rodzice zamienili wygodne mieszkanie w centrum miasta na niewielki domek wśród stawów, przycupnięty w alejach starych dębów i sosen, gdzie powietrze pachniało jak balsam. Malec miał nakazane poruszanie się wolnym krokiem, bez emocji i pośpiechu, do czego szybko przywykł.

Pasją jego stała się baczna obserwacja życia ryb w hodowlanych stawach. Napawał się zapachem otaczającej dom wody oraz toczącego się w wodzie bujnego życia wszelkich stworzeń. Mimowolnie śledził wszelkie prace prowadzone przez ojca przy zarybianiu stawów młodym narybkiem, dokarmianiem ryb, uwielbiał podziwiać skąpane w promieniach słońca tłuste cielska przepływających leniwie karpi.

Kiedy nadchodziła jesień, mężczyźni rozpoczynali odławianie, aby przygotować karpie do świątecznych, bożonarodzeniowych odłowów. Stawy pustoszały, a wrażliwy chłopiec stawał się smutny, nie mogąc pogodzić się ze zniknięciem ryb, nie do końca bowiem wierzył rodzicom, którzy mu tłumaczyli, że karpie przeprowadziły się do wygodniejszego stawu.

Janek rósł powoli, ale jego, wciąż uszkodzone serduszko, było coraz bardziej zmęczone i coraz częściej chłopiec tracił przytomność. Mama Janka, w matczynej rozpaczy uparła się, że jej ukochane dziecko musi żyć, musi przeżyć swoich rodziców, aby być dla nich opoką na stare lata i realizować własne marzenia. Jej ostatnia podróż do kliniki w Zabrzu dała nową nadzieję. Wspaniały przyjaciel chorych ludzi – Wielki Profesor Religa, po analizie wyników badań, własnoręcznie wypisał skierowanie do Kliniki Transplantacji na przeszczep serca dla Janka. Rozpoczęło się długie oczekiwanie na zdrowe serduszko dla chłopca, którym można będzie zastąpić to dziurawe i zmęczone. Rodzice wiedzieli, że będzie to ,,życie za życie'' – życie Janka, w zamian za czyjeś życie utracone, ale nie mieli alternatywy. Aby synek nie przeżywał przed operacją stresu, karpie tego roku nie zostały odłowione. Pływały więc radośnie, prezentując Jankowi swoje tłuściutkie cielska z mieniącą się jak zorza łuską.

W jesiennych, wieczornych wiadomościach rodzice Janka usłyszeli informację Policji o wypadku drogowym, który właśnie wydarzył się na oblodzonej Zakopiance. Jadąca autokarem do Zakopanego grupa dzieci z Jordanii, uległa poważnej katastrofie. Kilkoro dzieci trafiło do

szpitala specjalistycznego w Zabrzu. Nawet nie skojarzyli tego faktu z chorobą Jasia. Współczuli rodzicom jordańskich dzieci.

W dzienniku telewizyjnym – następnego dnia – podana została smutna wiadomość o śmierci dwojga dzieci arabskiego pochodzenia, uczestników wypadku na Zakopiance. Ale tego samego dnia, Janek wraz z opiekującą się nim mamą wsiedli do sanitarnego śmigłowca i polecieli z Dolnego na Górny Śląsk. Profesor wraz z ekipą chirurgów długo wymieniali Jasiowi jego pompę ssąco–tłoczącą – z tej chorej wersji na zdrowy egzemplarz. Dziecko, które zginęło w wypadku, stało się dawcą serca dla Jasia. Porażający smutek i tragedia jednych rodziców po utracie dziecka, otworzyła drogę nadziei i szczęścia dla rodziców Janka. Jest to odwieczna, nieustająca i nieubłagana ścieżka: Narodzin i Umierania. Życie Jasia to pomnik i hołd dla wspaniałego Człowieka i Lekarza – Profesora Religi.

Organizm młodego pacjenta pozytywnie przyjął dar życia, jaki sprezentował mu OBCY.

* * *

Dawca na pewno jest Obcy, bo przecież to obcokrajowiec, o nieznanej tożsamości dla rodziny Janka, a ponadto człowiek innej wiary, innego wyznania, wychowany w zupełnie innej kulturze, w innych tradycjach zarówno narodowościowych jak i rodzinnych, o zupełnie innych nawykach i obyczajach, o innej gradacji wartości, nawet innych sposobach odżywiania.

Spędził w naszym kraju przed wypadkiem tylko jeden dzień, więc nie zdążył się z nami utożsamić.

Janek dla rodziców, dla rodziny, dla przyjaciół – nadal jest Swój. Jest jednak nie taki sam, jak przed operacją wszczepienia nowego serca. Ma w swoim organizmie obce SERCE, które ma bardzo wielki wpływ na rozwój, osobowość, na wrażliwość oraz na życie uczuciowe i miłość człowieka.

Zatem Janek jest SWÓJ, ale po części jest także OBCY.

ODSŁONA 1 – Podróż

– Uwaga! Uwaga! Pociąg osobowy z Krakowa do Jeleniej Góry odjedzie z toru drugiego przy peronie pierwszym!

Furmanka, która przywiozła nas z bagażami na dworzec, przyjechała prawie w ostatniej chwili. W pociągu tłok, ostatnie pożegnania przez okno, na szczęście mieliśmy zarezerwowany przedział, ponieważ tato był pracownikiem PKP i było to możliwe. Pociąg ruszył a wraz z nim, jak na zamówienie losu, zaczął padać deszcz – może płakał nad ludźmi, którzy za chlebem i dachem nad głową wyjeżdżali na zachód.

Przytulona do ramienia matki spałam całą noc. Rano przywitało nas słońce. Gdy przyjechaliśmy na miejsce, znajomy ojca wskazał nam dom, w którym mieliśmy zamieszkać.

– Jest jednak pewne „ale" – powiedział do rodziców – na razie będziecie mieszkać z dwiema Niemkami, matką i córką, ale one za dwa miesiące wyjadą – powiedział żegnając się.

Gdy tylko weszliśmy na próg domu, Niemki przyszły się z nami przywitać, uśmiechały się nieśmiało. Mama znała trochę niemiecki, więc jakoś się z nimi porozumiała.

– Hitler kaput! Hitler kaput – mówiły do nas.

– Mamo! A kto to jest Hitler?

– Hitler, córciu, to zbrodniarz i złoczyńca.

Nie bardzo rozumiałam znaczenie tych słów, ale pokiwałam głową na znak, że rozumiem. Niemki przyniosły mnie i dwójce mojego starszego rodzeństwa cukierki. To były dobre kobiety.

ODSŁONA 2 – Pierwsze zauroczenia

Mijały lata, do szkoły podstawowej chodziło kilku chłopców niemieckiego pochodzenia. Jakoś dotąd ich rodziny nie wyjechały do Nie-

miec, ale jak ciągle mówił mi mój bliski kolega, Helmut – była to tylko kwestia czasu, prędzej czy później wyjadą.

Helmut był ładnym chłopcem o dużych, brązowych oczach, miał maniery dżentelmena, dlatego wiele dziewcząt ubiegało się o jego względy. Niejednokrotnie na przerwie Helmut chętnie ze mną rozmawiał, kaleczył bardzo język polski, ale jakoś zawsze dogadywaliśmy się. Kiedyś zaprosił mnie do kina, filmu nie pamiętam, natomiast pamiętam, że trzymał mnie przez cały film za rękę i całował w policzek. Gdy żegnaliśmy się, wyszeptał: „Jutro wyjeżdżamy do Niemiec, będę zawsze o Tobie pamiętał. Napiszę list".

Czekałam długo, jednak listu nigdy nie otrzymałam, widocznie los tak chciał.

ODSŁONA 3 – Pierwsze wrażenie sceniczne

Samolot ląduje w Burgas, następnie autokarem cała wycieczka jedzie do Primorska. Czekają na nas śliczne bungalowy. Oprócz mnie są moje koleżanki Daria i Mirka. Pogoda cudowna, Morze Czarne ciepłe, wspaniała duża plaża. Jednak zmęczone podróżą odpoczywamy, nawet nie usiłujemy rozpakować walizek. Za to na drugi dzień, zaraz po śniadaniu biegniemy na plażę. Woda wspaniała, nie to co w Bałtyku brrr. Pluskamy się, pływamy, ja najsłabiej, Daria i Mirka znacznie lepsze. W pewnym momencie podchodzi do mnie chłopiec

– Zdrastwuj dziewuszka! Ja Ciebie nauczę pływać.

– Ty kto? – spytałam – Bułgar czy Rosjanin?

– Rosjanin – odpowiedział.

Podeszłam do propozycji bardzo sceptycznie, zawsze bałam się obcych mężczyzn.

– Bardzo dziękuję, nie skorzystam – powiedziałam i szybko wyszłam z morza.

Zrobił dziwną minę i odszedł.

– Kto to był? – spytały koleżanki kładąc się obok mnie na kocu.

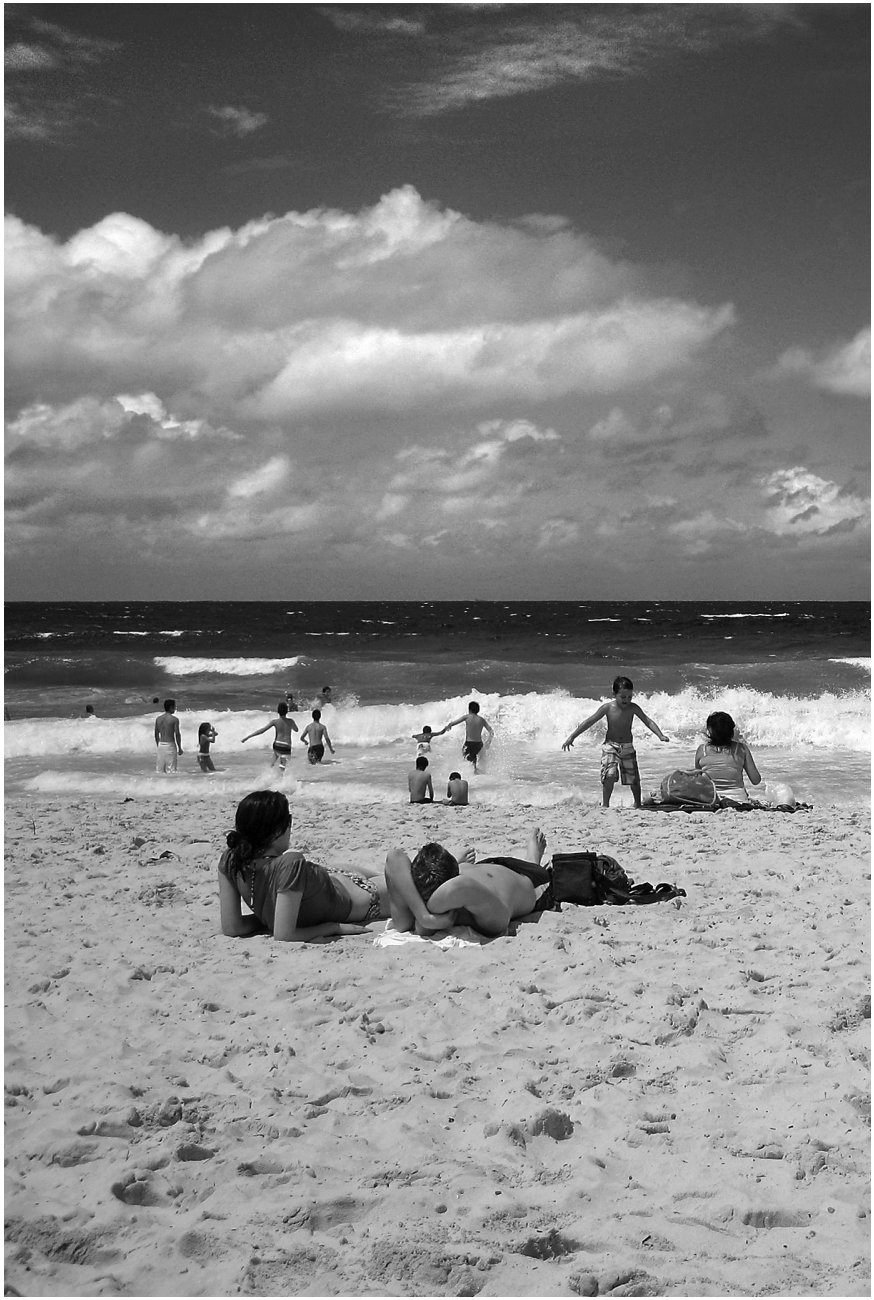

– Rosjanin, chciał mnie nauczyć pływać.

– Czemu się nie zgodziłaś? – zdziwiła się Daria. – Taki przystojny.

– Nie zauważyłam – odrzekłam i ucięłam rozmowę.

Minęło kilka dni, pogoda dopisywała, plus 40 stopni! Uf, jak gorąco! Zorganizowano nam wycieczką do Sozopolu i Neseber. Jadąc podziwiałam wspaniałą rzeźbę terenu. Była prześliczna, dosłownie zapierała dech, góry i morze. Cudowna ta Bułgaria! – konstatowałam.

W przydomowych ogrodach duże czerwone pomidory, papryka i zwisające, czarne od słońca winogrona. Spacerując po ulicach pozdrawiałam ludzi, siedzących w tych wspaniałych ogrodach – uśmiechali się.

Zbliżały się Dni Kultury Polskiej. Nawet w marzeniach nie wyobrażałam sobie, że stanę przed dużą widownią i zaśpiewam. W związku z tą ciekawą imprezą zawitała do nas pewna pani, przedstawiła się jako attaché kulturalny. Oznajmiła, że szuka osób, które by zaśpiewały piosenkę „Lato pachnące miętą". Miała przy sobie tekst i oczywiście zaśpiewała, by zapoznać nas z linią melodyczną. Piosenka nie była zbyt trudna, więc zgłosiłyśmy się: ja, Mirka i Daria i zaczęłyśmy intensywnie ćwiczyć. Przy temperaturze 40 stopni uczenie się słów na pamięć nie było łatwe. Nadszedł ów dzień. Ludzi mnóstwo, Polacy, Węgrzy, Bułgarzy i Rosjanie. Na wszelki wypadek każda z nas miała maleńką ściągę na dłoni. Występowało wiele zespołów, wszystko odbywało się w centrum miasta, na powietrzu.

Gdy konferansjer zapowiedział naszą trójkę i tytuł piosenki, stremowane stanęłyśmy przed widownią, Śpiewałyśmy, oczywiście, a capella. Jakoś nam poszło – nie było źle.

Gdy schodziłyśmy z podium, nagle podszedł do mnie mężczyzna i pogratulował.

– Spasiba, spasiba, ocień haraszo! – był to Rosjanin z plaży.

Bardzo serdecznie zapraszał mnie na kawę do kawiarni, ale ja grzecznie odmówiłam. Dogoniłam koleżanki i poszłyśmy na spacer po plaży. Zachód słońca był bajeczny, dotlenione i radosne wróciłyśmy do domku.

– Trzeba się pakować! Koniec leniuchowania! – Krzyknęła rozkazująco Mirka.

Nazajutrz skoro świt czekał na nas autokar, w porannej mgle żegnałyśmy Primorsko nucąc ,,Lato pachnące miętą, lato koloru malin".

ODSŁONA 4 – Pomarańczowe buty

Była już późna jesień, gdy z grupą wycieczkowiczów zawitałam do Wilna. Podziwialiśmy to miasto, które niegdyś należało do naszego kraju, dość często na ulicach słyszeliśmy polską mowę. Jesteśmy pod obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej. Jedni się modlą, drudzy rozmawiają, inni rozglądają się wokół. Nagle ktoś znienacka łapie mnie za rękę, akurat patrzyłam na parę szarych gołębi, które gruchały na dużej, rozłożystej brzozie. Była to kobieta w średnim wieku o dużych czarnych oczach.

– Ładne masz kozaki – powiedziała – takich właśnie potrzebuję. Sprzedaj mi je, dam 20 rubli i koniak.

– Nie mogę. Przecież mam je na nogach – powiedziałam.

– Sprzedaj – namolnie powtórzyła kobieta – w Polsce kupisz sobie nowe.

Zaczęłam się zastanawiać, a ona w mig spostrzegła moje wahanie, szybko zdjęła z nóg swoje tenisówki odpięła zamki na moich kozakach, ściągnęła mi szybkim ruchem i kazała włożyć tenisówki, po czym wyjęła z torebki 20 rubli i koniak, wepchnęła mi do ręki, szybko się oddalając. W hotelu zastanawiałam się, dlaczego kategorycznie jej nie odmówiłam, jednak gdy przypomniałam sobie jej czarne oczy, stwierdziłam, że miały one ogromną moc.

Danuta Mysłek

Świat oczami Antosia

„Jeśli nauczyciel jest zły – zły jest uczeń.
Jeśli uczeń jest zły – zły jest nauczyciel".
mongolskie

„Jak on szybko zderza się z okrucieństwem tego świata" – pomyślała babcia, kiedy to Antoni z wypiekami na twarzy, z poczuciem poniżania go przed kolegami z klasy, opowiadał zadyszany, co wydarzyło się w szkole w ten piękny, słoneczny, październikowy dzień.

– Co oni wyprawiają? Na jakiego człowieka kształtuje go ta szkoła? O Boże, oby on w przyszłości w pracy na skutek takich wydarzeń nie był człowiekiem stosującym podobne metody z pozycji siły i przypisanych pełnioną funkcją możliwości, idąc za przykładem własnych doświadczeń – powiedziała do dziadka, podenerwowana stanem wnuczka, babcia Kazia.

Antoś ma dziesięć lat, jest uczniem czwartej klasy. Jego owalną twarz okala gęsta czupryna ciemnych włosów, ma duże niebieski oczy, duże usta, mocno zarysowane brwi, długie rzęsy. Twarz rozjaśnia często uśmiechem, czym wzbudza u większości rozmówców sympatię. Potrafi dzielić się z innymi wszystkim, nawet i tymi najbardziej ulubionymi zabawkami. Rodzice ubierają go modnie. Uczyli od małego, że o wszystkim, co czuje, czego pragnie, może z nimi rozmawiać otwarcie, bez strachu i zahamowań. Ganili kłamstewka, negując też próby manipulacji – dawali przykłady takiego postępowania, oceniając je negatywnie. Szybko, jak na dziecko, stał się samodzielny, czym sprawiał radość rodzicom, prowokując komentarze inaczej trochę myślących dziadków. Antoś ma trzyletnią siostrzyczkę, z którą zgodnie się bawi, czyta jej bajki, czasem przejmując rolę rodziców, pomaga Halszce jak dorosły.

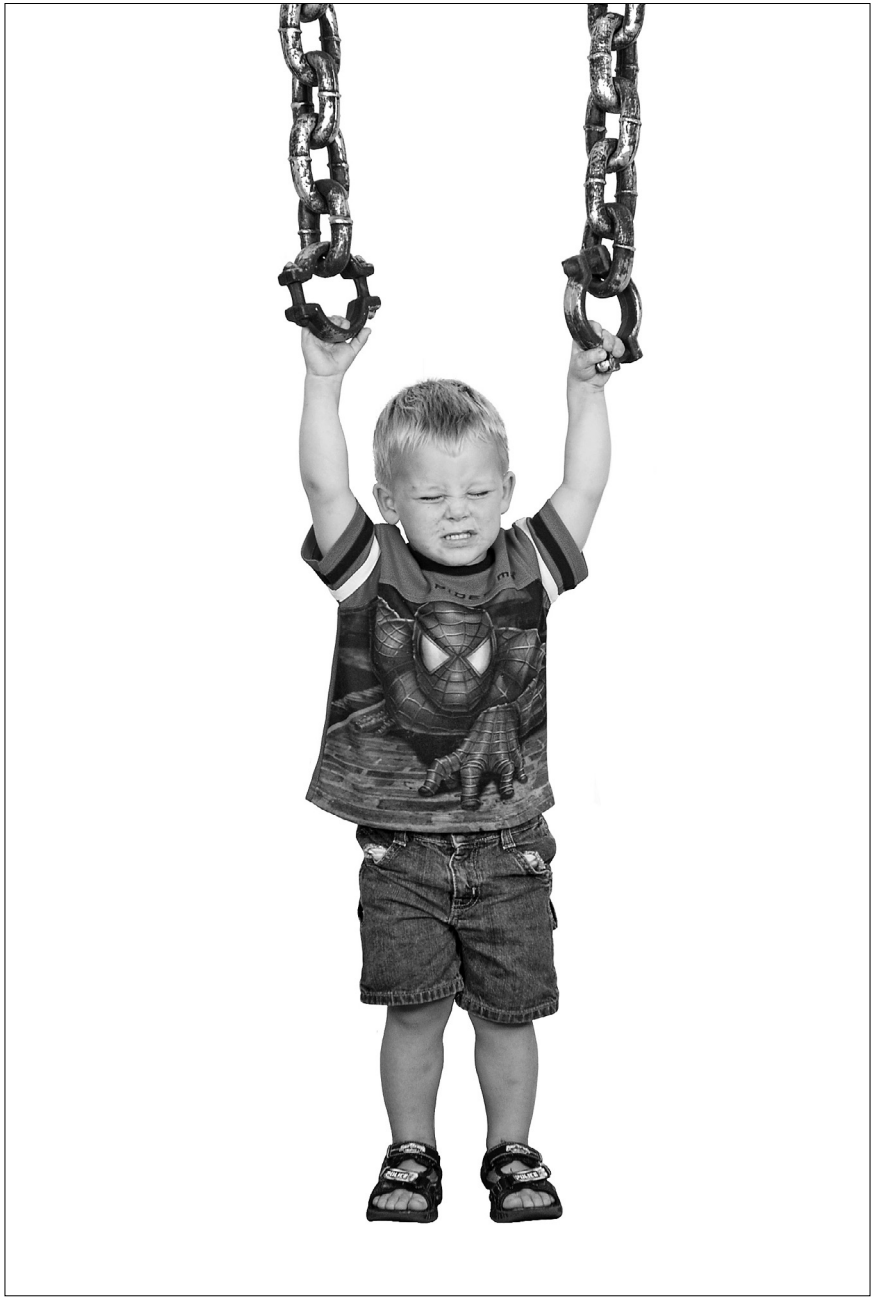

Działo się to dziewiątego października w szkole, do której uczęszczał Antoś. Chłopiec tego dnia do szkoły wyruszył z domu dziadków, u których kilka kolejnych dni po przebytej chorobie miał pomieszkiwać. Zaległości materiału, wynikające z absencji w szkole, przerobił z dziadkami, a było tego jak na dziesięciolatka dużo.

„Jak efektywnie wykorzystać z nim czas na przyswojenie materiału"? – zastanawiała się babcia przed przystąpieniem z Antosiem do nauki. Wiedząc, iż zaległości jest sporo, a uwaga wnuczka musi zostać efektywnie wykorzystana na naukę, wpadła na pomysł, że tym razem posłuży się metodami aktywizującymi, które stosuje ze swoimi studentami. Włączając w zajęcia również i dziadka, pracowali aktywnie w tym zespole. Rozwiązywali zagadnienia, których celem było inspirowanie i prowokowanie do myślenia dziesięciolatka. Antoś promieniał, ostro dyskutując, z większym niż zwykle zaangażowaniem oddawał się nauce. Sięgał chętnie po książki ze zbioru dziadków, wyszukując potrzebne mu informacje. Był tak zaabsorbowany, że nawet nie wspomniał o grach na komputerze, o co zwykle ich prosił.

Dziesięciolatek rozpoczął ten feralny dzień w poczuciu nadrobienia wszystkich zaległości, z nadzieją na radosne chwile w szkole, pośpieszał dziadka do wyjścia. Jeszcze rano wyrywkowo powtórzył z babcią to, co dzień wcześniej przerobili.

Z dziadkiem pojechał do szkoły, kiwając radośnie na pożegnanie babci z auta. Wydawało się, że nic nie zakłóci tak spokojnie rozpoczętego dnia z wnuczkiem. Niestety, dziadek nie znalazł wolnego miejsca do zaparkowania samochodu przed szkołą, więc pośpieszał malucha, by ten szybko i sprawnie wysiadał, kiedy zatrzymał samochód przed jej bramą. Narzucony pośpiech oraz przyciemnione w aucie szyby były przyczyną tego, że chłopiec nie zabrał worka ze strojem sportowym. Dziadek szybko się zorientował i natychmiast zawrócił, aby dostarczyć wnusiowi strój.

Antoni na widok dziadka rozpromienił się, głośno dając wyraz swojej radości:

– Uratowałeś mi życie! Na ciebie zawsze mogę liczyć. Dziadku, jak ja cię kocham, uratowałeś mnie przed złapaniem jedynki! Zdążyłeś!– wyrzucał z siebie szybki potok słów.

Dziadek wyjechał po Antosia do szkoły o godzinie czternastej. Babcia w oknie wyczekiwała, by powitać wnuczka czekającą na stole zupką.

„Antoś nie jest radosny" – pomyślała Kazia, widząc wysiadającego z samochodu wnuczka, a kiedy dotarł już do mieszkania, wiedziała, że coś złego musiało mu się przytrafić. Antoś rzucił się na tapczan i łamiącym się głosem zaczął mówić.

– Babciu, babciu, nikt mnie nie lubi w tej szkole, ja nie chcę do niej chodzić!

– Co ty mówisz, Antosiu? Dlaczego tak myślisz? – rzuciła pytania jednym tchem.

– Oni ze mnie się naśmiewają, a pan Leon kazał mi całą lekcję stać twarzą do ściany, podśmiechując się pod nosem.

– Jak to, polecił ci stać całą lekcję i dlaczego wydał takie polecenie? – kontynuowała dalej, mamrocząc już pod nosem tylko do męża – Jak on tak mógł? Co to za metody? Niewiarygodne!

– Nie mogłeś chyba widzieć stojąc plecami do klasy, że nauczyciel podśmiechiwał się? – poruszona do głębi babcia kierowała pytanie za pytaniem do Antoniego.

– Kątem oka widziałem cały czas nauczyciela – odpowiedział. – On mnie poniżył przy wszystkich obecnych – ciągnął wypowiedź ze łzami w oczach.

– Facet jest niezrównoważony, ma z sobą jakieś problemy – powiedział dziadek do babci.

Nie odpowiedziała.

Myśli natrętnie krążyły w jej głowie: to nie są metody wychowawcze, nawet jakby zasłużył na reprymendę, taka postawa nauczyciela nie powinna mieć miejsca. Szkodliwość takiej postawy ma szeroki i głęboki wymiar, wpływając na rozwój psychiki i kształtowanie się osobowości nie tylko Antosia, ale również obecnych w klasie dzieci. Antoni ma dopiero dziesięć lat i tak wielkie poczucie wyrządzanej mu krzywdy – jak

temu zaradzić, by przerwać emocje wnuka i opanować zdenerwowanie dziadka, ostro oceniającego eksces nauczyciela?

Antoni to pogodne dziecko, ufne, otwarte na innych i bardzo wrażliwe, czasem broni swoich racji, nie lubi, jak mu ktoś przerywa, kiedy on mówi. Obraża się na mamę, kiedy tak czyni. Można go do wszystkiego przekonać, ale argumentami, które trafiają mu do przekonania. Chodzi na judo, jeździ na nartach, dobrze też pływa, w wakacje wyjeżdża na obozy sportowe, a za osiągnięcia w tych dziedzinach sportu ma wiele nagród, medali i dyplomów. Z wychowania fizycznego w szkole na półrocze sklasyfikowali go tylko na ocenę dostateczną, co było dla niego wielkim i przykrym zaskoczeniem. Doskwierają mu problemy zdrowotne, a ostatnie badania diagnostyczne wywołały jeszcze większy niepokój w rodzinie o jego zdrowie, niż dotychczas.

Antoś ostatnio coraz częściej kontroluje swój uśmiech – co zastanawia jego babcię. Jego szczery, niewinny śmiech wypełniał ich mieszkanie zawsze, kiedy się u nich pojawiał, a teraz, jakby chyba zwątpił, czy można zarażać swoim szczerym śmiechem i radością życia.

Jest korpulentny, a dzieci, jak to dzieci, śmieją się z niego – nazywając go grubasem, rodzice też czepiają się jego tuszy. Kiedyś to był mały chudziak z chorobą przyzębia, dziś grubasek. W przedszkolu jadał speszony, ukradkiem odrywając kęs chleba, czy bułki nie mogąc ugryźć ze względu na chore uzębienie, spoglądał, czy nikt tego nie widzi. Dziś nosi obszerne bluzki, by tuszę ukryć.

– Wyzdrowiał, wrócił do kolegów z klasy, a zamiast radości, zagościły w nim smutek i rozżalenie – powiedział dziadek do babci, widząc rozgoryczonego malca.

– Masz niewątpliwie rację, ale rozsądnie trzeba dziecku wytłumaczyć, że to nie jest powód do zniechęcania się i myślenia o zmianie szkoły, o czym ostatnio coraz częściej mówi – odpowiedziała Kazia.

Sprawozdanie wchodzącego w życie małego człowieka poraziło dziadków, ale starali się rozpoznać sprawę z empatią.

– Tobie tylko, czy jeszcze komuś, pan kazał całą godzinę lekcyjną stać tyłem do klasy? Na jakiej to było lekcji? Jakie zajęcia polecił pan wam do wykonania? Co takiego zrobiłeś? Czy pan pozwolił ci wyjaśnić powód swojego zachowania? – pytali na zmianę.

– Babciu, babciu, pan kazał siedzieć cicho, każdy miał zająć się rysowaniem tego, co chce, a ja, kiedy zarysowałem jedną kartkę, chciałem tylko zapytać pana, czy mogę wziąć następną, nawet mnie chyba nie słuchał, nie udzielił mi odpowiedzi. „Antoni do kąta i tyłem do klasy stań!", polecił – opowiadał im Antoś. Antoni mówił dalej jednym tchem:

– Stałem tak nie tylko na całej lekcji, ale i na przerwie, zanim przyszła następna klasa na zajęcia. Pan mnie poniżył – mówił o tym z rozżaleniem powtórnie – a potem niektórzy śmiali się ze mnie – kontynuował wypowiedź z czerwonymi wypiekami na twarzy.

Babcia nagle zmieniła temat.

– A jak było na innych lekcjach? – zapytała.

– Wiesz, pani z polskiego mnie pochwaliła, dostałem plusa za aktywność, a z matematyki ze sprawdzianu, jako jedyny w klasie, dostałem szóstkę, ale nie cieszy mnie to wcale! Bo i tak wiem, że mnie nikt nie lubi w tej szkole, nie będę przykładał się do lekcji i już. Nie chcę chodzić do tej szkoły, nie warto się tu uczyć, bo i tak wystawią mi słaby stopień na koniec semestru, nawet gdybym się uczył nie wiem ile – wypowiedział jednym tchem.

– Co ty opowiadasz? – odparła babcia.

– A widzisz, co mam z W – F! – Wyciągnął z tornistra kartkę ze stopniami. Przecież jestem wysportowany! No tak, czy nie? – odpowiedział zarazem pytając.

– Antoni, ty uczysz się nie dla stopni, nie dla nauczycieli, a także nie dla rodziców. Tylko dla siebie. Wszystko człowiekowi można zabrać, ale wiedzy i umiejętności jakie posiada – nie! Twoją kurtkę mogę ci zabrać, ale czy mogę ci zabrać umiejętność szybkiego budowania z klocków lego według instrukcji. Ja nie poradziłabym sobie z tym tak szybko, jak

ty – argumentowała babcia. – Umiesz korzystać z instrukcji, umiesz czytać, sam już obsługujesz komputer, widzisz, że im więcej umiesz, tym więcej korzyści dla ciebie, nie dla innych – mówiła dalej.

– Chyba jednak masz rację – odpowiedział.

– Mam, mam i pamiętaj, że wiedza dziś niepotrzebna może być bardzo przydatną kiedyś, dziś nie musisz prosić: o poczytanie, o uruchomienie komputera – potwierdziła Kazia.

– No tak, masz chyba rację, na pewno – odpowiedział i rozpromienił się odrobinę, wspominając, jak babcia musiała mu pomagać przy komputerze i czytać bajki. – Teraz ja czytam siostrze – pochwalił się – wiesz, jak szybko czytam, dużo mi dała nauka technik szybkiego czytania.

– A widzisz, ile z tego masz radości, a ty chcesz skrzywdzić samego siebie tym, że nie będziesz przykładał się należycie do nauki, to komu zrobisz na złość?

– A jak oni mnie krzywdzą babciu, to dobrze? – odparł czwartoklasista.

„Jakież to przykre i demobilizujące dla dziecka" – pomyślała. Babcia nie dając za wygraną, próbowała z empatią rozwiać bolączki Antosia i przekazać dziecku to, co jest ważne dla niego w życiu.

– Antoś, w szkole obowiązują zasady i one dotyczą ciebie również i to twój obowiązek dowiedzieć się, co masz zadane, co było przerabiane, jak byłeś chory także. Nie powinno przydarzać się zapominalstwo i niedbalstwo – pouczała babcia.

– Jakie zasady, jak za aktywność na lekcji plus, a za brak zadania nie minus, tylko jedynka nawet następnego dnia po chorobie. To sprawiedliwe? – dopytywał się Antoś.

– Antoś, nauczycielowi można powiedzieć, że uzupełnisz, ale potrzebujesz na to czasu.

– Babciu, babciu nauczyciele tylko wrzeszczą do nas i mówią o pieniądzach, że tracą pracę. Tylko pani Regina nie jest taka, ona nigdy nie mówi o pieniądzach i jest sprawiedliwa.

– Wiedza to, takie twoje bogactwo, którego nikt nie może ci odebrać. A im więcej go zgromadzisz, tym będziesz bogatszy – tłumaczyła Kazia.

– Oj, babciu! – przerwał wnuk.

– Tylko duże zasoby wiedzy są gwarantem zdobycia i utrzymania wymarzonej pracy. Pamiętaj, kochany mój Antosiu, korzystaj z tego, co daje nam świat edukacji i nauki, z wielkim zaangażowaniem, a na pewno dobrze na tym wyjdziesz! Nie zniechęcaj się tak łatwo tymi stopniami, nawet jeśli czujesz, że nie zawsze są one wykładnikiem tego, co naprawdę myślisz, że umiesz.

– Trochę już nudzisz babciu, łatwo ci mówić, jakbyś się tak uczyła, uczyła bez przerwy, bez zabawy, a nauczyciel pyta tych samych, choć ja prawie wstaję, by nauczyciel widział, że zgłaszam się.

– Antosiu, wcale nie musisz prawie wstawać, by nauczyciel zauważył, że ty się zgłaszasz, bo to może właśnie przynosi odwrotny skutek. Wiesz, w szkole nauczyciel zazwyczaj widzi wszystko i najczęściej do odpowiedzi wyrywa tych, którzy nie uważają, by wrócili do zajęć i w nich aktywnie uczestniczyli.

– Cha, cha, cha – roześmiał się – ty nie wiesz, jak jest w tej szkole.

– Nie pozwól opanować się presji, że musisz koniecznie coś udowodnić samemu sobie. Wszystko ma swój czas. A teraz siadaj do obiadu – dodała.

Jedząc, próbował negocjować pozwolenie zagrania na komputerze, ale babci myśli krążyły daleko – ufność, pogodę ducha i wdzięk dobrze zachować do końca życia, ale dziecku, które spotyka mało empatii ze strony dorosłych, jest trudno pozostawić te wspaniałe cechy do końca. Łzy jak grochy spłynęły z jej policzków.

– Babciu, nie płacz – przytulając się do niej powiedział wnuczek.– Ja ciebie bardzo kocham. Czuję się taki bezpieczny przy tobie. Będę się uczył dla siebie – zakończył wypowiedź.

– Ja ciebie też bardzo, bardzo kocham – odparła babcia.

Antoni tego dnia po odrobieniu lekcji zasiadł do komputera i nie targował się o przedłużenie wyznaczonego mu na to czasu. W łóżku wspólnie z babcią zanosili prośby do Pana Boga o łaski dla całej rodziny i dziękowali za miniony dzień.

Ewa Olszewska

Pejzaż jesienny z miłością w tle

Niełatwo opowiedzieć historię jednej chwili czy choćby jednego dnia. Historia, która wydarzyła się pewnej jesieni na długo jednak pozostanie w pamięci bohaterki opowiadania.

Było przedpołudnie, kiedy Judyta dotarła do celu. Mimo iż była to jesień, pogoda zapowiadała się super. Złociste promienie słońca odbijały się od kamieni i kwiatów, tworzących kłąb zielono – czerwonej roślinności. Judyta pierwsza wysiadła z autobusu, zatrzymującego się dla wygody turystów tuż przed wejściem do hotelu, a podmuch świeżego powietrza lekko ją otumanił. Pragnęła wytchnienia od codzienności. Lekkim krokiem skierowała się do recepcji. Po chwili windą jechała na wyznaczone piętro. Pokój był już przygotowany, dwuosobowy. Zmęczona, chciała odpocząć. Budynek z dużą ilością bezimiennych postaci przerażał ją. W głowie jeszcze, w myślach szalały przytłaczające ją słowa. Wyjeżdżam, to koniec. To jego słowa. Od dziś nie posiadała nic oprócz złamanego serca i rozwianych marzeń. Położyła się na łóżku bliżej okna, poczuła ogarniający ją błogi spokój.

Nagle rozmyślanie przerwało pukanie do drzwi. W wejściu, z uśmiechem na twarzy, stała jej współlokatorka. Weszła z rozmachem do pokoju i powoli zaczęła rozpakowywać bagaże, jakby nie miała ochoty tego robić. W każdym razie tak to wyglądało. „Sylwia jestem" – rzuciła mimochodem, opróżniła torbę z rzeczy i rzuciła się na swoje łóżko, nie podejmując rozmowy. Judyta – chciała się przywitać, wstała, ale jej ręka, wyciągnięta na przywitanie, zawisła w powietrzu. Do końca pobytu mijały się obojętnie w drzwiach.

Judyta nie interesowała się otoczeniem. Po kilku dniach zdecydowała się podjąć jakieś działanie, a pierwsze, co jej wpadło w oczy, to plakat o wieczorku tanecznym. Popatrzę tylko i posłucham muzyki, po-

myślała. Pragnęła przecież zainteresowania. Innego niż to, którego doświadczyła w dotychczasowym życiu. Weszła na salę, ubrana w swoją najlepszą suknię, jasnoniebieską, z ciemnymi lamówkami. Muzyka z cicha grała jakąś znaną melodię. Próbowała przypomnieć sobie, co to za melodia. Czuła pustkę w głowie. Nieliczne pary powoli przesuwały się rytmicznie raz w prawo, raz w lewo. Tańczący wyglądali na znudzonych. Zrobił się tłok na parkiecie, kiedy zaczęły napływać grupy rozbawionych, rozgadanych kobiet i mężczyzn. Judyta wolnym krokiem przemierzała salę, kołysząc się w rytm muzyki, kiedy orkiestra zagrała jej ulubione tango. Sprawiała wrażenie nimfy, przechadzając się między podrygującymi parami i grupami samotnych kobiet.

Poszukała wzrokiem wolnego stolika i przysiadła, zamawiając coca colę. Nerwowo sączyła napój, a jej ciemne oczy wędrowały po sali. Lubiła tańczyć, a muzyka szybko wprawiała ją w lekki trans. Jej depresja na chwilę odpłynęła w siną dal. Niespodziewanie ktoś ukłonił się przed nią, prosząc do tańca. Mężczyzna w średnim wieku. Skorzystała, potwierdzając nieśmiałym uśmiechem. Jego niebieskie oczy napotkały jej ciemne, tajemnicze spojrzenie. Lekko speszona, uciekła wzrokiem gdzieś w bok, starając się zgubić wzrok partnera. On jednak delikatnie objął ją silnymi męskimi ramionami, prowadząc w takt muzyki. Był wysokim, ładnie zbudowanym mężczyzną. Wbijał oczy w jej twarz, próbując przebić się przez skorupę jej powściągliwości. Judyta bezustannie błądziła wzrokiem po suficie, szukając ucieczki od jego natrętnego spojrzenia. Wrócili do stolika. Mężczyzna dużo mówił, chcąc odłożyć chwilę rozstania z Judytą. Opowiadał o wycieczce, na której był wczoraj z kolegą, wybrali się pieszo w pobliskie góry. Odkryli, jak relacjonował teraz z wielkim entuzjazmem, schronisko o nazwie „Czarci Jar", w którym podawano grzane wino o smaku czarnej porzeczki. Przedstawił się, ale Judyta nie zapamiętała ani imienia, ani nazwiska.

Jeszcze dwa tańce i konferansjer zapowiedział koniec zabawy. Nieznajomy ukłonił się, dziękując elegancko za miły wieczór, nie miał odwagi poprosić o numer telefonu, ale wcisnął jej wizytówkę w dłoń przy

pożegnaniu. Na wizytówce nie było nazwiska, lecz tylko ręcznie wpisany numer telefonu komórkowego.

Wróciła do pokoju i jeszcze raz przyjrzała się karteczce. Czy to jest zaproszenie do nawiązania bliższego kontaktu, lepszego poznania? Nie wiedziała, co ma począć. Tu w tej chwili jest ten obcy mężczyzna: kulturalny, zabawny, a za plecami jej dotychczasowe życie: smutne, pozbawione kolorów. Czy da się oderwać od przeszłości? Czy obcość przyszłości potrafi ją zainteresować?

Z jednej strony mężczyzna bardzo ją intrygował, z drugiej wrodzone poczucie odpowiedzialności i moralności nie pozwalało na odważny krok ku wolności, bała się łamania tabu. Raptem przez otwarte okno do wnętrza wdarł się silny podmuch wiatru – czyżby to jakaś zachęta od losu? Podniosła głowę, chcąc odrzucić pokusę. A jednak zaczęła marzyć.

Kolejne dwa dni minęły bezbarwnie, jak dotychczas, a ona wciąż nie wiedziała, jak ma postąpić. Przeznaczenie wzięło sprawy w swoje ręce. Postawiło ich oboje, w godzinę po śniadaniu, trzeciego dnia po dancingu, na korytarzu, przed tablicą ogłoszeń. Na jej widok mężczyzna uśmiechnął się i przywitał, wyciągając rękę. Doskonale prezentował się w białym sweterku, zauważyła od razu. Przymrużone, pełne wewnętrznego blasku oczy skupiały się na niej z nadzieją. Robił sympatyczne wrażenie, nie mogła oderwać od niego wzroku.

– Pamięta mnie pani? Jestem Jerzy.

Ich pierwszy, niezapomniany spacer. Drzewa z cicha szumiały, zrzucając kolorowe liście pod ich nogi. Tą złotawą ścieżką kroczyła ona, Judyta i pierwszy raz od dwóch lat beztrosko patrzyła na obłoki, słuchając płynnego potoku słów swego partnera. W końcu ich ręce się spotkały, delikatny uścisk, pieszczota palców zbliżyły ich do siebie. Na końcu ścieżki przyciągnął ją gwałtownie, jakby chciał ją zamknąć w uścisku. Pachniał jak letni ogród. Ich wargi namiętnie zwarły się w pocałunku. Nie była w stanie mu się oprzeć. Przesunął dłonią po twarzy, głaskał po włosach długo i czule, aż przeniknął ją dreszcz. Ujął ją delikatnie

za ramiona i zaczął całować szerokimi pożądliwymi wargami. Zachłannie oddawała mu pocałunki. Ogień, tlący się dotąd w głębi, wybuchł w niej na dobre. Jej ciemnie oczy, rozpalone namiętnością, pragnęły na zawsze zapisać tę chwilę. Niespodziewanie znieruchomiał, a potem odsunął ją odrobinę – odetchnął, aby się uspokoić i zapanować nad namiętnością, która nie pozwoliłaby mu zachować przytomności umysłu. Na wpół zamroczona obudzoną namiętnością, przechyliła lekko głowę, przytulając się do niego. Oparła głowę na jego piersi. Przytulił ją, by w końcu wziąć ją za rękę. Ruszyli z powrotem, stąpając po zeschniętych liściach. Wiatr z lekka pieścił jej policzki delikatnym powiewem. Świat nagle stał się lepszy i piękniejszy, a niebo, choć zachmurzone – jasne i przejrzyste. Naraz wszystko nabrało rozpędu, każdy dzień coraz bardziej zbliżał ją do nowo poznanego partnera. Oczywiście bała się miłości, która byłaby nieustanną tęsknotą. Jednak nigdy dotychczas tak silnej namiętności nie wzbudził w niej żaden mężczyzna.

Judyta wdychała pełną piersią zapach, unoszący się nad polami, jednocześnie śmiejąc się beztrosko, kroczyła po ścieżce, porywając za sobą swojego partnera. Konary sosen rzucały na ziemię cienie, które mieszały się z promykami słońca, rysując majestatyczny obraz na tle jesiennego nieba. Szli podążając za swymi marzeniami. Ich twarze raz po raz zwracały się ku sobie, jakby chciały siebie pochłonąć. Wtuleni i wpatrzeni w siebie nie zauważyli, iż obok nich przechadzają się inne osoby. Niespodziewanie z tego miłosnego bujania w obłokach wyrwały ich słowa jednego ze spacerowiczów:

– Przepraszam, proszę się nie gniewać, ale muszę państwu powiedzieć, że jaśniejecie państwo absolutnym szczęściem. Miło popatrzeć.

Słowa wypowiedziane przez nieznanego, starszego pana mówiły o szczęściu, o ich szczęściu. Ze swobodną radością podziękowali sympatycznemu przechodniowi. Dalej przytuleni kontynuowali spacer wśród zieleni, a podmuch jesiennego wiatru przypominał pomrukiwanie niedźwiedzia. Judyta nigdy jeszcze nie czuła takiego pożądania. Dlatego też piła łapczywie, jak z wezbranej rzeki, każdy gest i każde

słowo, każdy dotyk i muśnięcie, odpowiadała na wszystko jak dobrze dostrojony instrument. Chciała jak najwięcej szczęścia skraść dla siebie. Jej myśli nie odrywały się od niego, wymawiała jego imię w dzień i w czasie snu. Jerzy, Jureczek. Chciała zatrzymać czas i przeżyć każdy dzień raz jeszcze. Czyżby ten obcy mężczyzna naraz miał stać się dla niej tak bliskim? Najbliższym? Dręczące pytanie pulsowało w jej podświadomości. Czy to jest miłość na całe życie? Na razie pozostało bez odpowiedzi.

Jakkolwiek jednak potoczą się ich losy, życie samo napisze scenariusz, a jej bohaterami będą oni. Przyszłość jest nieodgadniona, a liczy się tu i teraz.

Pobyt Judyty i jej wakacje nieuchronnie zbliżały się do końca. Coraz częściej też wracała myślami do codzienności i swoich obowiązków. Cudowne chwile w towarzystwie Jerzego szybko mijały. Nadszedł czas pożegnania i powrotu. Ostatnie, smutne spojrzenie rzucone zza szyb samochodu na z wolna oddalający się krajobraz górski. Na stojącego samotnie mężczyznę w białym sweterku.

Znowu dom – wieczór, księżyc wielki i złocisty wisi nad oknem – była sama. Oparła głowę o krawędź krzesła, pogrążona we własnych myślach. Lubiła wspominać tamte chwile. Pędzlem wyczarowywała barwne kolory jesieni. Tamtej jesieni, z promykami słońca, kolorowymi liśćmi. Słyszała słowa szeptane czule. Myślami była daleko. Owładnięta tęsknotą chciała zamknąć tę magiczną chwilę na palecie barw. Zaczęła malować obrazy o miłości. Zawsze w jesiennym pejzażu. Historia ich namiętnego romansu na długo pozostanie w jej pamięci i na jej obrazach. Niezależnie od tego, czy Jerzy jeszcze pojawi się w jej życiu. Obrazy o jesiennej miłości dobrze się sprzedawały.

Barbara Anna Pawłowicz

Wspomnienia z ferii zimowych w Rumunii w 1983 r.

Nauczycielka jednej ze cieplickich szkół średnich zaproponowała swoim koleżankom wspólny wyjazd w czasie ferii zimowych, w lutym 1983 r. do Rumunii, w odwiedziny do swojego męża. W mieście Cluj na Wyżynie Siedmiogrodzkiej od kilku miesięcy był on szefem montażu nowej maszyny papierniczej, wyprodukowanej przez cieplicką „Fampę". Jasia wraz z dziećmi odwiedziła go już raz w czasie wakacji. Ten wyjazd miał być pierwszym w okresie ferii zimowych.

W jej szkole chętne na wyjazd były tylko trzy koleżanki. Brakowało jeszcze jednej, więc zaprosiły mnie, a ja chętnie przyjęłam to zaproszenie.

I tak ekipa na wycieczkę, bo tak tę eskapadę traktowałam, została skompletowana – żona, jadąca do męża, i jej cztery koleżanki. Wyjazd został poprzedzony kilkutygodniowymi przygotowaniami. Jasia opowiedziała nam, jak się żyje w Rumunii, co tam jest, a czego brakuje, co najlepiej zabrać ze sobą, zarówno na własne potrzeby jak również na prezenty i sprzedaż. Jej informacje niewiele odbiegały od naszej wiedzy o tym kraju, z krajowych mediów oraz relacji osób, które jeździły latem do Rumunii na wczasy. Przygotowując się do wyjazdu, często zadawałyśmy sobie pytanie – dlaczego Jasia nas ze sobą bierze? Ona, bezpośrednio o to pytana, dawała jednak odpowiedzi wymijające.

Niczym niezrażone udałyśmy się w podróż najpierw do Katowic, a następnie do Budapesztu, i dalej do Cluj. Każda z nas wiozła odpowiedni zapas „Biseptolu", kilka wagonów papierosów „Kenty" oraz, a jakże, także prezerwatywy. Były to towary szczególnie poszukiwane w Rumunii. I jeszcze jedno, co nakazała nam Jasia, dużo cukierków oraz kosmetyków na prezenty.

Podróż do Budapesztu przebiegła bez żadnych problemów. Byłyśmy wesołe, całą drogę opowiadałyśmy kawały, a przy tym zjadłyśmy

większość kanapek i ciastek zabranych na podróż. Jedynie Jasia, która wiozła dwie torby pączków, za nic nie chciała nimi poczęstować. Mówiła, że poczęstuje dopiero po przekroczeniu granicy rumuńskiej.

W Budapeszcie, w którym nie było widać żadnych oznak zimy, przez co wyglądałyśmy jak z innego świata, opatulone od stop do głów, przesiadłyśmy się do pociągu jadącego do Rumunii. W miarę jak pociąg zbliżał się do granicy, tym bardziej się wyludniał. Do granicy dojechałyśmy jedynie w piątkę wraz z trzema węgierskimi celnikami. Jeszcze przed przekroczeniem granicy zainteresowali się nami, byli ciekawi gdzie, w środku zimy, pięć obcych kobiet jedzie, skąd pochodzą? Nawiązała się ciekawa konwersacja, oni nie znali polskiego, a my węgierskiego. W niczym to jednak nie przeszkadzało w wartkim prowadzeniu rozmowy i wzajemnym uzyskiwaniu wszystkich oczekiwanych informacji. Dużo w tym pomogła butelka polskiej wódki, którą wspólnie wypiliśmy. Na granicy z celnikami żegnałyśmy się jak dobrzy przyjaciele. Dowiedziawszy się, kiedy będziemy wracać, zapewnili nas, że też będą mieli wówczas służbę, i abyśmy się niczego nie obawiali przy przekraczaniu granicy.

A trzeba pamiętać, że przekraczanie w owych latach granicy zawsze wiązało się ze strachem przed rewizją i zarekwirowaniem przez celników części przewożonych rzeczy, albowiem zawsze wracało się z większą lub mniejszą ilością towarów, których wywóz z danego kraju był zabroniony, i tylko od humoru celników zależało, czy nam je zabiorą, czy nie.

I tak w mroźną lutową noc samotne w wagonie, a może nawet w całym pociągu, wjechałyśmy do Rumunii. Pociąg nie jechał do celu naszej podróży. Musiałyśmy się po drodze przesiąść na inny pociąg, aby dojechać do Cluj. Około pierwszej w nocy wysiadłyśmy na stacji, której nazwy już nie pamiętam. Stacja w szczerym polu, bez budynku stacyjnego, czy chociażby zadaszonego peronu, nieoświetlona, siarczysty mróz, ciemno wokół. Nasz pociąg do Cluj miał się pojawić dopiero o trzeciej nad ranem. Walizki ustawione obok siebie otoczyłyśmy krę-

giem, dla bezpieczeństwa, a i aby nam było cieplej. Wypiłyśmy resztki herbaty z termosów.

Nagle, gdy znalazłyśmy się na peronie, na stacji zaczęli się pojawiać jacyś ludzie, których wcześniej nie widziałyśmy; byli z pewnością pochowani przed mrozem albo dopiero przychodzili.

Byli to rumuńscy Cyganie, jadący do pracy. Ciekawi, co tu robimy, otoczyli nas gęstym kordonem. Byłyśmy w strachu, czy nas nie okradną, i nie zrobią jeszcze jakiejś innej krzywdy. Oczywiście nie mogliśmy się porozumieć, zaczęło się rozpytywanie, skąd jesteśmy. Nasza informacja, że z Polski, nic im nie mówiła. Zaczęli pytać: „Breżniew", my – nie, „Husak", my również – nie. Zorientowałyśmy się, o co im chodzi, i mówimy –„Gierek". „A!! Gierek" – odpowiedzieli i pokiwali głowami, już wiedzieli, skąd pochodzimy. Nazwa kraju nic im nie mówiła, ale komunistycznych przywódców doskonale znali, ich nazwiska były, jak widać, wystarczającym rozróżnieniem. Nie ważne było, że już wtedy nie było „Gierka", najprawdopodobniej o jego odejściu i pojawieniu się „Solidarności", a następnie stanu wojennego i generała Jaruzelskiego, nic nie wiedzieli, propaganda Ceausescu o tym zapewne milczała.

Zaczęli nagabywać o „Kenty", „Biseptol" i inne towary, wiedzieli, że na pewno je mamy, z kieszeni wyciągali przy tym całe „harmonie" banknotów. Oczywiście nie zamierzałyśmy im czegokolwiek sprzedawać. Dla poprawy nastroju chcieli nas częstować wódką. Każdy z mężczyzn miał za pazuchą litrową butelkę cujki, w kształcie naszych „octówek" z lat pięćdziesiątych, zatkaną zwitkiem papieru. Odmawiając poczęstunku, wzbudziliśmy ich natarczywość, tak że nabrałyśmy dużego strachu, czym się ta sytuacja zakończy. Na szczęście nadjechał pociąg i wsiadłyśmy do wagonu, nabitego do granic możliwości robotnikami zmierzającymi do pracy. Wagony bez przedziałów, o drewnianych ławkach, nieogrzane, potwornie zimne, w powietrzu unosił się, gryzący niemiłosiernie zapach przepoconych ubrań, papierosów i cujki; były podobne do polskich wagonów z okresu tuż powojennego.

Około piątej rano dotarłyśmy do Cluj, ale męża Janki na peronie nie było. Zaniepokojone, nie chcąc marznąć na 20 – stopniowym mrozie, postanowiłyśmy iść pieszo, bo w sumie do jego domu nie było daleko. Kiedy dotarłyśmy do domu, w którym Stefan mieszkał, jego nie było, pojawił się dopiero za kilka minut, też nieco zdenerwowany, że się spóźnił na nasz przyjazd. A powodem spóźnienia była konieczność jechania do dworca bocznymi uliczkami, gdyż pożyczony samochód nie mógł być używany tego dnia, albowiem z powodu niedoborów benzyny obowiązywała zasada, że samochody osobowe mogły być użytkowane co drugi dzień – jednego dnia z numerami rejestracyjnymi parzystymi, a następnego z nieparzystymi. Gdyby go złapała milicja, zostałby ukarany sporym mandatem.

Stefan zajmował dwupokojowe mieszkanie z kuchnią, łazienką i spiżarnią w nowym betonowym bloku, na I piętrze. Na nasz przyjazd, już od wieczora dnia poprzedniego, w kuchni paliły się wszystkie palniki gazowe, i tak już było przez cały nasz pobyt, albowiem ciepła woda w grzejnikach i kranie pojawiała się raz w tygodniu, w sobotę, i tylko przez dwie godziny. Natomiast zimna woda była dostępna dwa razy dziennie przez godzinę, rano i wieczorem. Na ścianach pokoi, od których meble były odsunięte na pół metra, zalegała warstwa lodu grubości ok. 2 – 3 cm. Na meblach leżały zrolowane dywany. Mimo stale palących się palników w kuchni, w mieszkaniu wcale nie było ciepło, spałyśmy w rajtuzach i swetrach, przykryte kołdrą i własnymi kożuchami lub płaszczami, w których przyjechałyśmy. Zresztą przez cały czas, który spędzałyśmy w domu, przebywałyśmy w łóżkach, przykryte po szyję. Podobnie jak z ciepłą wodą, było z TV, program pojawiał się jedynie pod wieczór w sobotę i niedzielę, przez dwie godziny. Pokazywano wiadomości i stare filmy, oczywiście wszystko czarno – białe.

Spiżarka to było pomieszczenie o pow. 4 na 2 m, przedzielone na pół i do połowy wysokości zasypane jabłkami, w jednej części białymi, a w drugiej czerwonymi. Przez tydzień naszego pobytu zjadłyśmy chyba połowę, takie były smaczne.

Idąc z dworca do domu, czy wychodząc w następnych dniach do miasta, co chwilę zaliczałyśmy upadki, albowiem gruba warstwa lodu na chodnikach nie była niczym posypana, a lód wyślizgany. Dopiero po kilku dniach zauważyłyśmy, że Rumuni na swoich butach mają naciągnięte skarpety wełniane, zapewniające stabilność podczas chodzenia. Kupiłyśmy sobie takie skarpety i nasze kłopoty się skończyły.

Już pierwszego wieczoru zmusiliśmy Jankę, aby wyjaśniła, dlaczego podczas podróży nie chciała nas poczęstować pączkami. Przy nas rozdarła dwie papierowe torby, przesiąknięte tłuszczem, z których, poza wyschniętymi pączkami, wypadły dwie foliowe torby z kołnierzami ze srebrnych lisów. Był to bardzo skuteczny sposób na bezpieczne przemycenie ich przez granicę. Na pewno żaden celnik nie grzebałby w torbie pełnej tłustych pączków.

Cluj to miasto przemysłowe, położone na stokach wzgórz. Większość ulic biegnie z dołu do góry, więc chodzenie nimi było bardzo utrudnione i ryzykowne dla nas. Głównym środkiem komunikacji były autobusy, napędzane gazem płynnym, którego zbiorniki w formie cygar woziły na swoich dachach. Rano i po południu autobusy były bardzo przepełnione, drzwi nie zamykały się, a ludzie wisieli jak bombki na choince.

Każdego ranka wychodziłyśmy do miasta. Odwiedzałyśmy sklepy, obserwowałyśmy ludzi i ich zachowania. Szczególne wrażenie wywierały na nas odwiedziny sklepów – były nieogrzewane, obsługa, opatulona w ciepłe ubrania, rękawice i czapki, czekała po ciemku na klientów. Światło było zapalane dopiero po wejściu do sklepu i natychmiast gaszone po naszym wyjściu. W zasadzie bywałyśmy jedynymi kupującymi przed południem, kiedy miejscowi pracowali. Poinstruowani przez Jankę, która większość czasu spędzała z mężem, zabierałyśmy ze sobą do miasta cukierki i kosmetyki na prezenty dla obsługi sklepów. Wówczas pokazywali nam wszystko,, co mieli w sklepach, i pozwalali do woli wybierać. A wyroby tekstylne, bawełniane, wełniane i skórzane mieli znakomite. Brakowało im, podobnie jak nam w kraju,

produktów spożywczych. Po kilku dniach w mieście wiedziano już o naszym pobycie. W naszych wędrówkach towarzyszyły nam rumuńskie dzieci. Obdarowywałyśmy je cukierkami. Czasami obserwowałyśmy, jak skonsternowane nie wiedziały, co z nimi zrobić. Najpewniej widzieli je po raz pierwszy w życiu. Kiedyś w hotelu, do którego weszłyśmy sprzedać kosmetyki, podarowałam starszej pani torebkę drażetek, przejęta mało się nie popłakała, mówiąc, że jej dzieci w ogóle nie znają cukierków.

Obiady gotowałyśmy w domu, więc jak było konieczne nabycie mięsa, to Stefan prosił o kosmetyki lub papierosy na prezenty, i przed pójściem do pracy szedł do sklepu, gdzie mu przygotowywano kawałek rąbanki owiniętej w gazetę, którą odbierał po pracy. Warzywa kupowałyśmy same, choć były już mocno przemrożone, szczególnie ziemniaki, których z całego wiaderka (trzeba było mieć własne) ledwo wybrałyśmy na jeden obiad.

Zaraz po przyjeździe przygotowaliśmy kolację, na którą Stefan zaprosił kilka osób z kierownictwa fabryki razem z dyrektorem i jego żoną, będącą w pierwszej ciąży. W drodze rewanżu dyrektor fabryki, Livio, zaprosił nas do swojego domu. Kiedy do niego przyszłyśmy w umówiony dzień, okazało się, że jest sam, bo żona trafiła już do szpitala, ponieważ lada chwila spodziewa się dziecka. Zakłopotany nieco Livio zza okna wyjął płat wędzonej słoniny, którą zaczęłyśmy kroić w plastry i układać wraz z chlebem na olbrzymim półmisku. Zakasawszy rękawy koszuli, ze słojów stojących w spiżarni dłońmi wyjął na inny półmisek kiszoną całą paprykę, czerwoną i zieloną. Obok półmisków ze słoniną i papryką na talerzyku położyłyśmy przyniesioną przez nas kostkę masła. Livio przyniósł z piwnicy jeszcze kilka butelek cujki i wina własnej roboty. I tak rozpoczęliśmy ucztowanie. Wbrew naszym obawom, wędzona w czerwonej papryce słonina okazała się rarytasem. A Livio, zapewne nie znając wcześniej masła, kroił je w plastry grubości plastrów słoniny i tak kładł na chleb. Wino piliśmy po cujce, śpiewając po rumuńsku *Vino dupa cujca.*

Chodząc po mieście czułyśmy się bardzo swobodnie. Byłyśmy wesołe. Stefan wiedząc o tym upominał nas, abyśmy się nie naraziły milicji. Mimo, że wiedziałyśmy o warunkach społeczno – politycznych panujących wówczas w Rumunii, że oglądałyśmy na co dzień na ścianach domów olbrzymie portrety Ceausescu, nie czułyśmy strachu ani obaw. Nikt nam też nie zwracał uwagi i nie spotkałyśmy się z żadnymi szykanami.

Pewnego dnia miałyśmy jechać pociągiem do sąsiedniego miasta na zakupy. Stefan uprzedzał nas, aby jechać pociągiem pośpiesznym a nie zwykłym, który też o tej samej godzinie ma jechać. Kiedy przyszłyśmy na dworzec, pojawił się problem, jak zapytać o pociąg pośpieszny? Żadna z nas nie znała rumuńskiego, więc znalazłam oto taki sposób zapytania o pociąg, mówiąc do kasjerki powoli: *ciuch – ciuch – ciuch – ciuch* i kręcąc przecząco głową i rękoma, a następnie szybko *ciuch – ciuch – ciuch – ciuch*, kiwając akceptująco głową. Razem z kasjerką i koleżankami ryczałyśmy ze śmiechu, ale bilety kupiłyśmy. Kiedy jeszcze teraz wspominamy tę podróż, śmiejemy się do rozpuku.

Mimo, że byłyśmy w obcym kraju, czułyśmy się, jak byśmy były u siebie. Odnosiłyśmy często wrażenie, że miejscowi czują się bardziej obco u siebie, niż my u nich.

To, że byłyśmy zbyt swobodne, tak jak u siebie w domu, uświadomiłyśmy sobie dopiero podczas przekraczania granicy rumuńsko – węgierskiej, w drodze powrotnej do Polski. Otóż, jak zapewniali, węgierscy celnicy, czekali na nas, ale w towarzystwie jeszcze jednej celniczki, chyba ich przełożonej. Odprawa przebiegła w całkiem odmiennej atmosferze niż poprzednio. Nie dawali poznać, że nas znają, byli dla nas całkowicie obcy, przetrząsnęli bagaże do góry nogami i zabrali do depozytu większość nowych rzeczy, a szczególnie te oryginalnie zapakowane. Tu poczuliśmy się zdecydowanie obco, tak jak często podczas przekraczania granic przy powrotach z Niemiec lub Czechosłowacji.

Po powrocie do domu zdałyśmy sobie sprawę, że bez nas, naszego towarzystwa, Jasia nie byłaby w stanie sama odbyć tej podróży.

Zresztą, gdybyśmy wcześniej wiedziały, jak będzie ona przebiegać, nie wiem, czy zdecydowałybyśmy wziąć w niej udział. Jednak mimo tych wszystkich wątpliwości i rozterek wdzięczne byliśmy i jesteśmy Jasi, że nas ze sobą zabrała.

I na zakończenie jeszcze kilka zdań o tym, co widzieliśmy pięć lat później, z przejazdu pociągiem przez Rumunię, podczas jedynej naszej podróży do Bułgarii, w sierpniu 1988 r, w drodze na wczasy w Burgas. Nasz pociąg zatrzymał się tylko jeden raz na terytorium Rumunii. Kiedy pociąg wjechał na stację, peron był obstawiony obustronnie na całej długości przez uzbrojonych żołnierzy z psami na smyczy, przy każdych drzwiach do wagonu. Mimo tych środków, których widok mroził nam krew w żyłach i przypominał czasy ostatniej wojny, mali rumuńscy Romowie, oraz dorośli mężczyźni i kobiety, często w ciąży, pomiędzy nogami żołnierzy i poprzez otwarte okna jak szarańcza wdzierali się do wagonów i biegiem przechodzili od przedziału do przedziału, prosząc głośno o sprzedanie „Biseptolu", papierosów lub prosili o cukierki, coś do jedzenia, a także o pieniądze. Trzeba było pilnować swojego dobytku, bo mogli ukraść. W zasadzie byliśmy przygotowani na ich wizytę, każdy z nas wręczał im to, co miał, a oni nie bacząc na nic brali i biegli dalej. Nasza obsługa pociągu nie interweniowała, to żołnierze gonili intruzów. Dla nas widok tego zamieszania był przerażający, wszyscy krzyczeli, psy szczekały i skakały jak oszalałe. Jeszcze zanim pociąg ruszył, widzieliśmy grupki dzieci przeglądających zdobycze, wcale nie spieszyli się, aby szybko opuścić teren dworca.

Pytanie, kto tu był „swój", a kto „obcy", pozostawiam otwarte – niech czytelnik sam dokona wyboru.

Barbara Anna Pawłowicz

Reminiscencje historyczno – turystyczne

Nigdy nie wyjeżdżałam do pracy za granicę, ani też nikt z najbliższej rodziny nie musiał emigrować za chlebem. Nieznana jest mi gorycz obcości i samotności na obczyźnie. Ale doskonale pamiętam czasy, w których obce nam były zapełnione wszelkim dobrem półki sklepowe, z powodu braku podstawowych artykułów żywnościowych i przemysłowych. I kiedy istniała, najczęściej jednodniowa, turystyka zakupowa za zachodnią bądź południową granicą, gdzie bezwstydnie obławialiśmy się wszelkimi dobrami, których u nas nie było, stając się mimo woli ich przemytnikami. Bo właściwie niczego z ówczesnej NRD i Czechosłowacji wywozić nie było wolno. Pomimo tego nasze dzieci objadały się czeską krupiczką, którą popijały sokiem wyciśniętym z przemycanych pomarańczy i mandarynek. Ubierane były w wełniane kompleciki i spały w cieplutkich wełnianych śpiworach zza południowej granicy. Z NRD przywoziliśmy tetrowe pieluchy i wózki dziecięce, które można było z zyskiem odsprzedać, kiedy maluchy z nich wyrosły.

Do najbliższych sąsiadów mogliśmy wyjeżdżać na podstawie dowodu osobistego, był to jeden z przywilejów wprowadzony na początku lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku przez Gierka. Aby wyjechać, trzeba było dokonać zakupu, nie częściej niż raz na miesiąc, na książeczkę walutową, 100 marek wschodnioniemieckich lub 100 koron czechosłowackich. Były to kwoty niezmiernie małe, chcąc kupić np. wózek dziecięcy, wyjechać musieli rodzice i dziadkowie, aby zapewnić pokrycie zakupu przydzielonymi markami. Wszędzie byliśmy niemile widziani i obco traktowani, bo wykupywaliśmy miejscowym towary dotowane przez ich państwo. Pomimo, że w Polsce wielu towarów nie było, a na początku lat osiemdziesiątych wiele podstawowych towarów żywnościowych i przemysłowych można było nabyć jedynie na kartki, w na-

szych domach panował względny dobrobyt. Sprytnie upychaliśmy zdobyte za granicą towary w kieszeniach, rękawach, poduszkach samochodowych, ubieraliśmy na siebie np. po 5 par skarpet, czy po kilka podkoszulków, a nowe buty na nogi, aby przechytrzyć czechosłowackich lub niemieckich celników, którzy często rekwirowali zakupione towary. A kiedy na czeskiej granicy trafiliśmy na dzień „łapanki", gdy nawet na dwa dni przed Bożym Narodzeniem starano się nam odebrać takie rarytasy, jak czekoladki na choinkę zawinięte w złotko lub banany czy mandarynki, to, aby ich nie oddać, gotowi byliśmy wszystko spałaszować, nawet kosztem własnego zdrowia.

W tamtych czasach były chętnie nawiązywane kontakty w ramach współpracy socjalistycznej pomiędzy szkołami, zakładami pracy i instytucjami polskimi i niemieckimi, rzadziej z czechosłowackimi. Co ciekawe, oni uczyli się od nas gościnności. Nie mogli się nadziwić, jak to jest, że u nas kartki na wszystko, w sklepach nic nie ma, a w domach stoły się uginają. Co jeszcze ciekawsze, to Niemcy wyjeżdżali od nas obładowani czerwonym barszczem z uszkami, bigosem, kiszonymi ogórkami i kapustą, których nie znali u siebie. Wywozili też pieczarki, rzodkiewkę, zielone ogórki, wedlowskie czekolady i krem Nivea, bo tańsze były u nas. Do nas rzadko coś przywozili w prezencie. Chyba, że zamówiliśmy salami lub kawę, to przywieźli zgodnie z zamówieniem, i z wyliczoną kwotą do zapłaty.

Dane mi też było w tamtych czasach wyjechać jako wychowawca z naszą młodzieżą na kolonię do Niemiec. Bardzo to sobie chwaliłam ze względu na świetną organizację. Grupy były 15 – osobowe, do każdego zespołu był przydzielony tłumacz i opiekun ze strony niemieckiej. Zarobiłam trochę marek, które dzięki tłumaczowi i niemieckiemu opiekunowi mogłam umiejętnie zagospodarować. Ekspedientki w sklepach na ogół nie były przychylne Polakom, kiedy chciałyśmy coś ciekawego kupić, to mówiły, że nie ma lub chowały towar pod ladę. Czułyśmy się wtedy niekomfortowo – obco, były to dla nas upokarzające sytuacje. Kiedy zaś szłyśmy na zakupy z niemieckim tłumaczem lub opiekunem,

sytuacja była zgoła inna, mogłyśmy wskazać towary, które pragnęliśmy nabyć, a oni, czyli swoi, nie mieli problemu z ich zakupem.

Będąc na tej kolonii miałyśmy jeszcze jedno przykre doświadczenie, obrazujące różnice pomiędzy Polakami a Niemcami, a może bardziej pomiędzy ludźmi – „swoimi" i „obcymi". Kadra kolonii spotykała się każdego dnia na wieczornej odprawie. Kiedy zjawiliśmy się pierwszego dnia na takiej odprawie, niemieccy koledzy przynieśli ze sobą piwo i wino oraz ciasteczka. Każde z nich otworzyło swoje butelki i nalało do szklanek jedynie dla siebie. Nas nie poczęstowano. Drugiego dnia sytuacja ma się tak samo. Trzeciego dnia zaskoczyliśmy ich naszą gościnnością. Przyszliśmy nieco wcześniej z własnym piwem i winem, rozstawiliśmy szklanki dla wszystkich, a kiedy przyszli Niemcy, nalaliśmy także dla nich. Byli tym trochę zaskoczeni, ale już od następnego dnia nalewali także dla nas, a my także dla nich.

W przeciwieństwie do tego, co działo się za granicą w stosunku do Polaków, w naszych sklepach Niemców i Czechów witano z entuzjazmem, co niejednego rodaka irytowało.

Po paru latach, szczególnie w odniesieniu do Czechów, sytuacja odwróciła się. To oni zaczęli gromadnie przyjeżdżać do nas na zakupy. Pamiętam, że pewnej soboty w 1986 r, kiedy chciałam z bratem odwiedzić chorą mamę we „Wzroku" w Szklarskiej Porębie, musieliśmy godzinę czekać na możliwość wyjazdu z Piechowic na Trasę Czeską. Przez ten czas nieprzerwanie płynął potok czeskich autokarów na targowisko w Jeleniej Górze.

Dzisiaj sytuacja diametralnie się zmieniła. Chętnie nas przyjmują, aby tylko robić u nich zakupy. W wielu sklepach, czy to czeskich, czy niemieckich, obsługa mówi po polsku, nikt już nie okazuje, jak dawniej, pogardy. Jesteśmy teraz wszyscy swoi.

A oto inny przykład z życia wzięty. Spotkałam kiedyś Polaka, repatrianta z Kazachstanu, który, w latach 90 – tych wraz z żoną na stare lata wrócił do Polski. W Sobieszowie dostał mieszkanie i pracę. Został otoczony opieką. Mimo tego nie czuł się dobrze, bo ze względu na ak-

cent nie był odbierany jako Polak. Ze smutkiem opowiadał: tam byłem „Polaczok", a tu jestem „Ruski". Czyli i tam i tu – obcy.

Jakie to przykre doświadczenie, które będzie jeszcze udziałem wielu Polaków mieszkających na wschodzie, którzy czekają na powrót do Ojczyzny, do „Swoich".

Ewa Pelzer

Kto jest swój, a kto obcy?

Zrozumienie ludzi i ich zachowań pozwala nam pojąć ich dążenia, decyzje i wybory. Życie w cywilizowanym społeczeństwie zmusza nas do tego, byśmy dostrzegali i akceptowali inność, odmienność, różnicę temperamentów, wierzeń, zachowań seksualnych, czy tradycji wszystkich bez wyjątku ludzi. Wtedy tylko będziemy mieć szacunek do ich indywidualnego losu, którego niekoniecznie tylko oni są twórcami.

Nie sposób jednak obdarować wszystkich całym swoim potencjałem uczuciowym, zaangażowaniem, poświęceniem, czy choćby nawet sympatią i zaufaniem. Tu ogromną rolę odgrywa wzajemna relacja energetyczna, zarówno na poziomie wizualnym, jak i odbiorze psychicznym. Z wolna wyłania się pytanie, ,,kto jest dla nas swój, a kto obcy"? Pytanie niezwykle trudne do zdefiniowania przez swą złożoność.

Ufam pierwotnemu instynktowi, czy jak kto woli, intuicji pierwszego wrażenia. Rzadko się mylę, chociaż staram się dać ,,obcemu" drugą szansę przez głębsze wzajemne poznanie, aby nie skrzywdzić ani siebie, ani też ,,obcego".

W przebiegu naszego życia spotykamy bardzo wielu różnych ludzi. Są tacy, do których czujemy sympatię, jeszcze nim się odezwą, i są tacy, których nigdy nie polubimy mimo, iż będą o to usilnie zabiegać.

Mam wrażenie, że to ,,coś" jest jakąś metafizyczną stroną człowieka.

Tych pierwszych będziemy traktować jak starych, zaufanych znajomych, drugich zaś tolerować tylko ze względu na nasze dobre wychowanie. I co jest dziwne, te uczucia zwykle działają w obie strony.

Dla mnie na zawsze pozostaną ,,swoimi" rodzice, rodzeństwo, dzieci i wnukowie, ponieważ jesteśmy połączeni ze sobą ścisłymi więzami krwi.

,,Swój" to niekoniecznie ktoś z krewnych, a ,,obcy" to nie zawsze przybysz. Tego pierwszego można trochę przewidzieć, poznać mowę

jego ciała, szczególnie oczu, spokój lub chaos w jego wnętrzu czy energię, którą roztacza wokół siebie.

Natomiast „obcy", szczególnie innej narodowości, jest dla nas tajemnicą. Różni się kulturą, czasem wiarą, poczuciem humoru, a nade wszystko innym mentalnym pojmowaniem zjawisk. Hołduje innym wartościom i mimo szczerej chęci nie potrafimy mu zaufać, lecz zaledwie tolerujemy. Zaś ktoś niezwiązany z nami pokrewieństwem, ktoś, z kim mamy rzadki kontakt, może być nam niezwykle bliski. Obdarzamy się bowiem wzajemnym zaufaniem, empatią, jesteśmy w stanie dużo ofiarować sobie wzajemnie. Gdzieś w głębi naszego jestestwa jesteśmy ze sobą duchowo związani, jakby nasza znajomość trwała od zawsze.

„Obcym" może się stać także „swój".

Przykładem na to jest rozdzielone małżeństwo, gdzie jedno wyjeżdża z dala od domu w celach zarobkowych na długi okres, czasem za granicę. Z biegiem lat więzi rozluźniają się, a ludzie stają się sobie obcy. Wiążąca ich niegdyś bliskość rozmywa się w codzienności życia. Nasiąkają nowymi wartościami, poznają nowych partnerów, tęsknota za starym życiem z wolna umiera, a słowo „zaufanie" przestaje mieć znaczenie.

Często zdarzają się związki, w których ludzie kochający się mieszkają w jednym domu, ale z upływem czasu stają się dla siebie obcy, a nawet wrodzy.

Nasze uczucia są zmienne, podlegają emocjom, manipulacjom i środowisku, w jakim jesteśmy. Nawet tak drobna rzecz, jak chwilowa zmiana miejsca pobytu, urlop czy szpital zmienia nasze uczucia.

Trzeba ogromnej pewności siebie, wiary we własną wartość i swoje możliwości, byśmy czuli się swobodnie i pewnie w społeczeństwie bogatym i wymagającym, o wysokim stopniu rozwoju techniki i intelektu.

Zaś w kraju o niższym standardzie życiowym i kulturowym czujemy się pewniej, bowiem niedobory intelektualne nie będą zauważone, i mimo całej swej „mądrości" i tolerancji, jest w nas to „coś", co sprawia, że wydaje nam się, iż jesteśmy atrakcyjniejsi.

Ludzie są niemili dla innych nawet, kiedy nie mają do tego powodu.

Z ostracyzmem można się spotkać na co dzień, choćby wchodząc do butiku, gdzie pani ekspedientka jednym rzutem oka ocenia klientkę wołając z daleka: przepraszam, tu nie ma na panią rozmiaru! Przecież nawet nie ma pojęcia, po co klientka przyszła.

A ona przyszła tylko po korale.

Ja miałam wątpliwą przyjemność spotkać się z ostracyzmem towarzyskim z powodu „niedopasowania", kiedy to czułam się, jak przysłowiowa uboga krewna, bowiem gospodarze idąc z nami na spacer wyraźnie nas wyprzedzali, wstydząc się naszych niemarkowych ubrań. Sytuacja ta pozostała w mojej pamięci i dotknęła najczulszych pokładów wrażliwości.

Tolerancji należy się uczyć przez całe życie. Tak mało przecież wiemy. Nie mamy pojęcia, co jest przyczyną pewnych zachowań. Czy są wyssane z mlekiem matki, czy są po prostu niezdiagnozowane ze względu na ułomność medycyny. Nikt nie wie, czy zaburzenia seksualne, będące powodem ogromnego ostracyzmu, nie są wynikiem błędu genetycznego, na co nie mamy chwilowo wpływu. Tak mało wiemy przecież o przyczynach tego, czego doświadczamy w życiu.

Nikt z nas nie jest do końca organem opiniotwórczym, może być autorytetem, wyrażać swoje zdanie, ale ma obowiązek z całym szacunkiem wysłuchać tych, którzy się z nim nie zgadzają.

Staram się słuchać instynktu, który jest dla mnie pierwszym drogowskazem. Dzięki niemu wybieram tych, którzy zajmują ważne miejsce w moim życiu. „Obcych" odrzucam z kręgu i staram się nie przebywać w towarzystwie ludzi, wśród których czuję wewnętrzny niepokój.

Nie ma też dowodów na to, byśmy dziedziczyli niechęć do „obcych". Już raczej myślę, że powtarzające się złe wiadomości i doświadczenia na temat „obcego" lub jego narodu ustawiają naszą psychikę, która łatwo poddaje się manipulacji.

Oczywiście że zdarzają się sytuacje, kiedy „obcy" może być wrogiem, co nie znaczy, że w pewnych okolicznościach „swój" też może

się nim okazać i odwrotnie. Nie potrafimy do końca poznać emocjonalności, drogi w dążeniu do celu, spaczonej moralności, czy błędnego pojęcia wiary. To czyni nas bezbronnymi wobec ,,obcych" i wobec ich prawd.

To jest tak, jak z życiem i śmiercią. Życie jest ,,swoje", jesteśmy tu i teraz, szkicujemy je przerywaną linią, bo przecież nie do końca jest przewidywalne, ale trochę je znamy i wciąż poznajemy.

Śmierć zaś jest ,,obca". Boimy się bowiem nieznanego i trudno się dziwić. Ale przecież możemy się mylić.

Może właśnie śmierć nie jest ,,obca", może jest wyzwoleniem z okupacji życia?

WEEP NOT SHE IS NOT DEAD BUT SLEEPETH
ERECTED TO THE MEMORY OF
MARY
A DEAR KIND AND LOVING
AND SELF SACRIFICING MOTHER
WHO DEPARTED THIS LIFE ON
MARCH 3rd 1923
R I P
PRAY FOR THE REPOSE OF THE PRAYER ABOVE THIS SON
MAY THE LORD HELP TO KEEP HER ST AND GOD

Ewa Pelzer

Szukajcie, a znajdziecie

Od kiedy pamiętam, w moim rodzinnym domu bardzo często gościła babcia Aniela, matka mojej mamy. Ta niezwykła kobieta wychowała sama pięcioro wspaniałych dzieci, z których była bardzo dumna. Zawsze będąc u nas opowiadała mnie i mojej siostrze historie z dzieciństwa, z czasów wojny i swoje zmagania się z życiem w trudnych czasach po wojnie.

Kiedyś opowiedziała nam o śmierci swojego męża, a naszego dziadka. W 1941 roku dziadek został wywieziony na przymusowe roboty do Niemiec. Stamtąd pisał listy do rodziny, w których powiadamiał, iż pracuje w „Spółce Węglowej" w miasteczku Königstein.

Pracował do początku 1945 roku, kiedy to w lutym, podczas jedynego nalotu na miasteczko, pocisk uderzył w barak, w którym mieszkali Polacy, między innymi mój dziadek. Babcia Aniela otrzymała tylko gazetę, w której przeczytała zawiadomienie o jego śmierci. Słuchałam babcinej opowieści ze łzami w oczach. Przyrzekłam sobie wtedy, że jeśli będę dorosła, a granice między państwami będzie można pokonywać bez przeszkód, postaram się znaleźć grób mojego dziadka. Czas biegł, byłam już dorosła, ale często przypominałam sobie o dziecięcym postanowieniu. I kiedy wyszłam za mąż, wraz z mężem udaliśmy się na poszukiwanie grobu. To było ważne nie tylko dla mnie, ale przede wszystkim dla jeszcze żyjącej babci i jej pięciorga dzieci.

Miejscowości o nazwie Königstein były dwie. Jedna w niegdysiejszym NRD, gdzie przebywała kiedyś hrabina Cosel i druga, leżąca 22 km od Frankfurtu nad Menem. Tam właśnie w 1980 roku pojechaliśmy.

Cudowne miasto – kurort – położone na łagodnych wzgórzach, powitało nas piękną pogodą i niezwykłym urokiem. Cmentarz, który zobaczyliśmy położony na stoku, otoczony został drewnianym parka-

nem, a wejścia na cmentarz miał dwa, od góry i dołu. Uparłam się, by szukać grobu od dołu, gdzie między cyprysami dostrzegłam ukrytą starą, żelazną furtkę.

Zaraz po prawej stronie, jako pierwszy, znajdował się grób mojego dziadka. Obok niego zobaczyliśmy dwa groby młodych Polaków. Wszystkie trzy były bardzo zadbane, wręcz wypielęgnowane, otoczone misternie przyciętym żywopłotem. Na każdym z nich tkwił miedziany krzyż z nazwiskiem, imieniem, datą urodzenia i śmierci oraz nazwą miejscowości w Polsce, z których nasi rodacy pochodzili. Trudno nazwać to, co wtedy czułam.

Była to wdzięczność za możliwość odnalezienia grobu, której towarzyszyła radość i ogromny żal, iż musiało upłynąć 35 lat, aby ktoś z rodziny zapalił znicz i położył kwiaty na grobie dziadka i grobach jego, jakże młodych kolegów. Wzruszenie ściskało gardło, a łzy radości i bólu spływały po twarzy.

Zauważyłam, że data śmierci mojego dziadka przypadała na październik, podczas gdy młodzi Polacy zginęli w lutym 1945 roku.

Nagle otworzyła się furtka cmentarza i do grobu podeszła starsza kobieta, patrząc na nas ze zdziwieniem. Zapaliła świece na grobach Polaków. Opowiedziała nam, że jest Czeszką pochodzącą z Trutnowa, mieszka od dawna we Frankfurcie nad Menem i dwa razy w roku przyjeżdża na groby Polaków, robi porządki i zapala znicze mając nadzieję, że znajdzie się ktoś, kto zapali znicz na miejscu spoczynku jej brata, który poległ na wschodzie. I tak poznaliśmy tę dobrą kobietę.

Dlaczego przyszła tam właśnie w ten dzień, kiedy pojawiliśmy się my, pozostanie dla mnie zagadką.

Bardzo byłam zainteresowana, jak zginął mój dziadek, więc pomyślałam, że najlepiej porozmawiać z kimś starszym, kto od zarania jest mieszkańcem Königstein i pamięta czas wojny.

Właścicielka pensjonatu, w którym się zatrzymaliśmy, była starą kobietą. Opowiedziała nam, że w lutym 1945 roku był jeden, jedyny nalot Amerykanów na miasteczko. Spadła tylko jedna bomba, trafiając w ba-

rak, w którym mieszkali Polacy. Dwóch młodych zginęło na miejscu, a mój dziadek został ranny.

Niestety, nie odnaleźliśmy żadnych dokumentów szpitalnych, bowiem spłonęły w pożarze. Przypuszczalnie dziadek przebywał w szpitalu, w którym zmarł w październiku na skutek odniesionych obrażeń.

Odwiedziliśmy Urząd Burmistrza, by dowiedzieć się, gdzie uiścić opłatę za grób, aby mógł nadal istnieć. Pan Burmistrz oświadczył, że groby te są objęte opieką miasta i jego mieszkańców. Byliśmy wzruszeni przyjęciem nas, słowami współczucia i zapewnieniem opieki nad grobami.

Z mogiły wzięłam kilka gałązek bluszczu i bukszpanu dla żony, czterech córek i syna dziadka. Wzięłam też garść ziemi, którą wsypaliśmy w 1982 roku do grobu babci Anieli. Znalezienie grobu dziadka otworzyło drogę innym członkom rodziny, którzy odwiedzają cmentarz w Königstein, zawsze otoczony opieką mieszkańców.

Gdzie w tym wszystkim szukać ,,swojego czy obcego"?

Izabela Rochnowska

Jaki znak Twój?

Panią Blankę poznałam na pielgrzymce do Częstochowy organizowanej co roku przez jeleniogórskich Sybiraków. Miła, sprawna osiemdziesięciolatka od razu zyskała moją sympatię. Jeszcze w Częstochowie dowiedziałam się, że jest córką nauczycielki i oficera zamordowanego w Katyniu. W luźnej rozmowie na ławeczce, przed „Domem Pielgrzyma" powiedziałam jej trochę o sobie, o tym, że lubię podróżować, a zwiedzanie egzotycznych krajów było moim marzeniem od lat dziecięcych. Pani Blanka ze smutnym uśmiechem rzekła wówczas:

– A ja mam uraz do podróży, bo wszystkie peregrynacje odbywałam zawsze wbrew mojej woli.

Widząc moje zainteresowanie, dodała:

– Przyjdzie pani do mnie w Jeleniej Górze, to wszystko opowiem.

Oczywiście skwapliwie skorzystałam z zaproszenia.

Na moją wizytę pani Blanka przygotowała fotografie, książki, wycinki z gazet, ale pierwsze, co mi pokazała, to była „Księga Cmentarna Polskiego Cmentarza Wojennego" (Warszawa 2003) i przeczytała w niej adnotację o ojcu, oficerze, Stanisławie Szablewskim, zamordowanym w Katyniu.

Dodała, że zawsze wśród dzieci w szkole była „tą nową", bo bycie córką zawodowego oficera z góry skazywało rodzinę na ciągłe przeprowadzki. W kwietniu 1940 roku panią Blankę (12 lat), jej matkę i dwie siostry (13 i 4 lata) wywieziono na Sybir. Ojca wcześniej zabrali Rosjanie, gdy wywoził archiwum RKU do Rumunii. Cztery panie Szablewskie znalazły się na „nieludzkiej" ziemi w osadzie Teśma, pow. Sierowsk, woj. Swierdłowsk (za Uralem). Matka pani Blanki zaczęła pracować tam przy wycince lasu, a potem jako sprzątaczka w szkole.

Kiedy zaczęła się tworzyć Armia Andersa, pozwolono polskim rodzinom wyjeżdżać. Wszyscy obierali kierunek – Uzbekistan. Pani Blanka

wspomina tę podróż jako koszmar (wszy, brak warunków do utrzymania higieny, kilkudniowe oczekiwania na następne połączenia środków komunikacji).

W końcu dojechały do Uzbekistanu. Uzbecy okazali się narodem życzliwym obcokrajowcom. Z tego, co pani Blanka pamięta – byli źle ustosunkowani do Rosji i być może ciemiężeni przez nią, rozumieli niedolę Polaków. Ludzi napływających do tego kraju dziesiątkowały choroby: tyfus, dyzenteria, gruźlica. Tyfus plamisty dopadł też rodzinę pani Blanki. Jakoś cudem przeżyły.

Po pewnym czasie do Uzbekistanu zaczęli napływać andersowcy. Ponieważ żołnierze (in spe) mogli zabrać ze sobą swoją rodzinę, podawali się oni często za krewnych zupełnie obcych im Polaków. Takiego przyszywanego „wujka" znalazły też panie Szablewskie. Pod opieką andersowców miały się lepiej. Mężczyźni dzielili się swoimi racjami żywnościowymi z podopiecznymi. Niestety i tak Polacy zostawili tam cmentarz pełny polskich mogił. Pani Blanka wraz ze starszą siostrą zaciągnęła się do junaczek (organizacja przy formującym się wojsku polskim) i wyjechała wraz z przyszłymi żołnierzami do Krasnowodzka (port nad Morzem Kaspijskim), a potem do Iranu.

W irańskim pałacu

O pobycie w Iranie pani Blanka opowiadała tak:

– Dotarliśmy do miejscowości Pahlewi, gdzie nastąpił podział przybyłych na ulokowanie w różnych miejscach: Teheranie, Isfahanie i Ahwazie. Trafiłam wraz z siostrą do Isfahanu. Szach Reza Pahlawi oraz Irańczycy życzliwie przyjmowali nas – wygnańców. Oddawano nam do zamieszkania (przejściowego) porządne domy, a nawet pałace. Ja z siostrą trafiłyśmy właśnie do tego ostatniego. Było nam tam dobrze. Zapewniono wyżywienie i opiekę. Jedzenie nie było nadzwyczajne, ale po rosyjskim głodzie smakowało nam wszystko. A poza tym, nie byliśmy u siebie w domu, tylko gośćmi i narzekać nie wypadało. Irańczycy zajęli się naszymi chorymi, którymi zapełniły się ich szpitale.

Przywieźliśmy ze sobą zakaźne choroby: tyfus, dyzenterię, czerwonkę. Nie wszystkich zdołano wyleczyć. Wiele osób zmarło. W Teheranie powstał duży cmentarz polski. Nieboszczyków grzebano zawiniętych w koce, a do grobu wkładano butelkę zawierającą kartkę z danymi osobowymi pochowanego. Małe sieroty, które często nie pamiętały, jak się nazywają, po śmierci miały zazwyczaj na nagrobku wypisane tylko imię „Jaś", „Zbysio".

Polacy zaczęli organizować swój polski dom na obczyźnie. Rozpoczęto szkolenie sanitariuszy, aby odciążyć irańską służbę medyczną. Brakowało lekarzy – Polaków.

Po pewnym czasie sytuacja zdrowotna została opanowana – epidemie ucichły.

Do Iranu trafiły junaczki, junacy i sieroty. Trzeba było się nimi zająć, zorganizować opiekę i naukę. W pierwszej kolejności powstały szkoły i przedszkola, potem dwa polskie szpitale. Otwarto bibliotekę, a także zaczęto wydawać pismo „Polak w Iranie". Pojawiały się tam artykuły na tematy związane z życiem Polaków na obczyźnie i sytuacją na froncie.

W Isfahanie ukończyłam I klasę gimnazjum. Pamiętam z wdzięcznością moich nauczycieli, panią Masajewą – anglistkę, pana Michałowskiego – łacinnika. Religii uczył nas ksiądz Czarnecki. On to pozwolił katolikom chodzić na nabożeństwa do kaplicy ormiańskiej. Była taka – bardzo piękna – w pałacu, gdzie mieszkałam.

Z początkiem 1943 roku zaczęły już odchodzić transporty z Iranu do obozów osiedleńczych, przygotowanych dla Polaków w Afryce. Wyjechałam z Isfahanu do Karaczi (Indie). Tu dano nam namioty i zaczęło się dość długie oczekiwanie na okręt, który miał nas zawieźć do Afryki. Czekaliśmy parę miesięcy. W tym czasie zorganizowano prowizoryczne zajęcia szkolne. W końcu przypłynął statek i konwojowany przez sześć innych okrętów zawiózł nas do Mombasy. I w tym miejscu rozpoczął się następny etap mojego życia na obczyźnie – w Afryce.

Pani Blanka zaproponowała zrobienie dwudniowej przerwy w naszych spotkaniach. Chciała spokojnie przypomnieć sobie kolejne wyda-

rzenia. Następnym razem opowiedziała o pobycie w Afryce, w której spędziła pięć lat.

W ugandyjskim buszu

Z niecierpliwością oczekiwałam kolejnego spotkania z panią Blanką. Spodziewałam się ciekawych opowieści i nie zawiodłam się. Moja „przymusowa podróżniczka" zaczęła snuć swoją afrykańską historię od przyjazdu do Mombasy – dużego portu w Kenii.

– Nasz transport przywiózł również jeden z sierocińców i dzieci te umieszczono w Kodży (Kenia) pod opieką nazaretanek. Za cztery miesiące znowu przywieziono wiele sierot, ale tym razem wysłano je do Meksyku i Nowej Zelandii. Dzieciom stworzono tam dobre warunki do życia, ale skończyło się to ich całkowitym wynarodowieniem. Obce ziemie całkowicie je wchłonęły. Ja (razem ze starszą siostrą) trafiłam do obozu przejściowego w Makindu, a potem, aby być razem z mamą i młodszą siostrą, do obozu w Masindi (Uganda).

Były tam przygotowane dla nas domki, dość duże – na dwie rodziny – kryte trawą słoniową lub bananowymi liśćmi. Wnętrze chatki wyposażono w najniezbędniejsze sprzęty, wyciosane zwykle z jednego kloca. Oczywiście, elektryczności nie było.

Uganda to kraj równikowy i tam przez okrągły rok dzień zaczyna się o 6 rano, a kończy się o 18 – ej. Zmrok zapadał momentalnie. Długie tropikalne wieczory spędzaliśmy przy lampach naftowych. Obóz Masindi stanowiło 6 połączonych ze sobą wiosek, którym nadano polskie nazwy: Niespodzianka, Babiniec (mieszkały tam same kobiety), Jadwisin (od imienia bardzo lubianej lekarki Jadwigi Zielińskiej), Dziecięca Wioska, Skolimówka i Kozi Róg.

W każdym miejscu, gdzie zjawiali się polscy uchodźcy, natychmiast organizowano placówki oświatowe. Nauczyciele – ci wykwalifikowani i ci z przypadku – zawsze z pełnym zaangażowaniem podejmowali swą pracę. W osiedlu Masindi utworzono cztery szkoły podstawowe, gimnazjum, liceum i szkołę handlową. Moja mama pracowała tam jako

nauczycielka (była nią z zawodu) i dlatego orientowałam się w trudnościach wykonywania tej profesji w naszym obozie. Brakowało podręczników. Nauczyciel musiał polegać tylko na swojej wiedzy. Odgrzebywał więc w swojej pamięci wiadomości nabyte jeszcze w czasie, kiedy sam był uczniem. Ci, którzy byli niewykwalifikowanymi pedagogami, uczyli tego, w czym czuli się kompetentni. I tak – lekarz uczył biologii, ksiądz – łaciny, prawnik – historii itp.

Po jakimś czasie przysłano z Anglii trochę podręczników, ołówków, zeszytów i innych pomocy naukowych. Płynące z Wielkiej Brytanii zaopatrzenie dla nas, uchodźców, to nie „dobre serce" Anglików. Wszystko opłacone było polskim złotem, wywiezionym na brytyjską wyspę w obawie przed zrabowaniem go przez Niemców.

Polacy starali się stworzyć na obczyźnie namiastkę ojczyzny. Tęsknili za nią. Wybudowano polski kościół, przy nim wydzielono miejsce na cmentarz (istnieje do dziś). W domu parafialnym otworzono świetlicę. Przy domkach zakładano ogródki warzywne i kwiatowe. „Nasze" pomidory, fasolka, ziemniaki, a nawet kapusta świetnie plonowały. Polacy znający jakieś rzemiosło pozakładali swoje warsztaty i świadczyli usługi: szewskie, stolarskie, krawieckie. Piekli też chleb.

Niedaleko naszej wioski ulokował się obóz Włochów, a ich chłopaki ciągle przychodzili do nas, bo bardzo podobały się im nasze dziewczyny. Niedaleko były też wioski Murzynów. Ci byli nam bardzo przyjaźni. Nasza młodzież próbowała uczyć się ich języka, ale słabo to wychodziło. O wiele łatwiej przychodziła tubylcom nauka języka polskiego. Czasem zatrudnialiśmy ich w naszym osiedlu, ale do pracy to oni niezbyt się garnęli. Powierzyliśmy im kiedyś poprawienie dachu z trawy. Robota przeciągała się w nieskończoność, bo Murzyni każdy mały wysiłek nagradzali sobie godzinami trwającą labą. W naszym osiedlu był sklepik i stołówka. Pamiętam, że dostawaliśmy jakieś niewielkie pieniądze od rządu polskiego z Anglii.

Tymczasem ja chodziłam już do liceum. Zapamiętałam kilku księży, którzy nas uczyli. Byli to: ks. Wincenty Winczowski, ks. Józef Janusz –

wyjechał potem do Rzymu (jezuita) i ks. Wojciech Szklany – po wojnie osiadł w USA.

Dyrektorem liceum był Kazimierz Arnold – z wykształcenia polonista. Przed wojną uczył w szkole średniej. Pięknie wykładał literaturę. Nade wszystko kochał utwory Żeromskiego i swoją miłość przekazywał uczniom. Nienawidził komunistów. Nie mógł pogodzić się z tym, że zawładnęli naszą ojczyzną i po wojnie wyemigrował do Wielkiej Brytanii. Były też panie nauczycielki: Barbara Czerska – uczyła nas angielskiego, Helena Michniewiczowa – historii i prac ręcznych, Zofia Markowska – łaciny. Niektóre z pań pedagogów adoptowały sieroty z sierocińca. Nauczyciele sami układali program nauczania. Trudności z powodu braku podręczników powodowały, że analizowano literaturę wojenną. Korzystano z poezji drukowanej w „Żołnierzu Polskim".

W Masindi bardzo sprawnie działało harcerstwo. Należała do niego większość naszej młodzieży. Organizacja ta stawiała na zdobywanie sprawności fizycznej (wciąż trwała wojna) oraz kształcenie uczuć patriotycznych.

Klimat w Ugandzie był typowy dla strefy tropikalnej. Co trzy miesiące następowała pora deszczowa. Na czas ulewnych opadów szkoły zamykano. Choroby, które dokuczały Polakom to malaria, a także ropnie i gangrena, którą wywoływał owad zwany pchełką ziemną. Insekt wchodził pod paznokcie nóg i powodował trudne do wyleczenia infekcje. Antybiotyki nie były jeszcze wtedy powszechnie dostępne.

Z malarią radzono sobie chininą, spaniem pod moskitierą, ale i tak zimnica każdego dobrze wytrzęsła. Najgorsza była malaria mózgowa – zmarł na nią jeden z nauczycieli (matematyk). Ja przeszłam tam zapalenie płuc i też zimnicę. Lekarstwa były. Dysponowały nimi nasze szpitale i osiedlowe pielęgniarki.

Gorzej było z moją najmłodszą siostrą – zachorowała na gruźlicę – pewnie przywiozła ją jeszcze z Rosji. Klimat w Ugandzie nie sprzyjał tej chorobie i mama z chorą wyjechały do obozu w Kenii do Rongai. Ja ze starszą siostrą pozostałam w Masindi. Musiałyśmy tam ukończyć szkołę.

Docierała do nas prasa polska – „Żołnierz Polski". Poprzez tę gazetę dowiadywaliśmy się, co dzieje się w Polsce, na froncie i w świecie. My już w Afryce wiedzieliśmy o zbrodniach dokonanych przez Rosjan w Katyniu. Ostaszkowie, Starobielsku, Kozielsku. Poczta z Armii Andersa przychodziła do nas regularnie.

Czas płynął. Uczęszczałam dalej do liceum. Zawierałam przyjaźnie, czasem podobał mi się jakiś chłopak, ale młodzieńców, kiedy tylko dorastali do pewnego wieku, zaraz zabierali na front. Nie zdążyłam się w żadnym zakochać.

Nastał rok 1947 – rok, w którym oczekiwał mnie egzamin dojrzałości. Maturalny egzamin składał się z części pisemnej i ustnej. Obejmował przedmioty: język polski i angielski oraz matematykę. Utkwił mi w pamięci temat pisemnej matury z języka polskiego: „Wyzwolin ten doczeka dnia, kto własną wolą wyzwolony" (Cytat z dramatu „Wyzwolenie" Stanisława Wyspiańskiego). Egzaminy zdałam i otrzymałam świadectwo dojrzałości. Miałam 19 lat.

Wyjechałam do mamy pracującej w obozie polskim w Kenii. Była dyrektorką szkoły i zatrudniła mnie u siebie w charakterze nauczycielki języka polskiego. Pracowałam tam około dwóch lat. W tym czasie zaczęto już likwidować polskie obozy. Trzeba było zdecydować się, dokąd wyjeżdżamy. W Afryce nie można było pozostać. Do Lwowa wracać nie było po co. Był już nie nasz. Polaków przyjmowano w Australii i Kanadzie. Wielka Brytania otwarta była tylko dla tych, którzy mieli tam rodzinę (żołnierza z Armii Andersa). Mama i my, trzy córki od samego początku zdecydowałyśmy się na powrót do kraju. Byłyśmy Polkami. Ojciec oddał życie za ojczyznę. Tęskniłyśmy za naszą polską ziemią.

I tak z obozu w Kenii przewieziono nas znowu do Mombasy, gdzie zamieszkałyśmy w namiotach i czekałyśmy parę tygodni na transport do Europy. Zabrał nas włoski statek „Toscana" z portu macierzystego w Genui i w tym mieście też zakończył się nasz rejs. Stąd przewieźli nas do obozu pod Turynem. Tam spotkaliśmy licznych Żydów, którzy uciekali z Polski. Nas – powracających do ojczyzny – przezywali komunista-

mi i źle się do nas odnosili. Na szczęście długo nie musieliśmy nawzajem znosić swego towarzystwa, jadącego w przeciwnych kierunkach.

Przyjechał międzynarodowy pociąg (Czerwonego Krzyża), który zabierał wszystkich rozbitków życiowych i pojechaliśmy w trzytygodniową podróż do Polski. Ojczystą ziemię ujrzałam w czerwcu 1948 roku. Mama i my, córki, wierzyłyśmy, że po tylu latach tułania się po obcych krajach nareszcie będziemy u siebie w domu, wśród swojego narodu. Czekała nas jednak gorycz rozczarowania. To już nie była ta Polska, z której wywieziono nas na 8 – letnią tułaczkę.

Wiadomo. Po wojnie generał Anders uznany był za zdrajcę, a ci, którzy za nim poszli, w tym rodziny jego żołnierzy, nie cieszyli się w kraju dobrymi notowaniami. Poczułam się obca i niepotrzebna. Chciałam studiować. Niestety, afrykańskie świadectwo maturalne skutecznie blokowało mi wstęp na polskie uczelnie. Przecież w afrykańskim obozie szkoły nie uczyły miłości do Stalina – „dobrodzieja" i „przyjaciela" Polaków.

Przyjęto mnie na KUL. Ukończyłam tam psychologię. Ale zdobyty dyplom nie ułatwiał mi życia. Byłam nauczycielką z powołania. Chciałam pracować z młodzieżą. Władze PRL – u utrudniały mi to w każdy możliwy sposób. Dyplom KUL – u nie był pożądany w powojennych czasach.

Pierwszą pracą, do jakiej mnie skierowano. była… dworcowa knajpa. Tłumaczono mi – młodej dziewczynie – że tam jako psycholog będę miała pole do działania, ponieważ będzie tam pełno pijaków i ludzi z marginesu, którym potrzebna pomoc psychologiczna. Na szczęście długo wśród tego towarzystwa nie pracowałam. Zatrudniono mnie potem w świetlicy szkolnej, gdzie pracowałam kilkanaście lat. Na emeryturę odeszłam jako pracownik poradni zawodowej – to moja późniejsza praca. Nie zabiegałam o „ważne" stanowiska. Swoją wiedzę psychologiczną wykorzystałam zatrudniając się (nieodpłatnie) w hospicjum im. M. Kolbe w Koszalinie. Tam naprawdę byłam potrzebna i usatysfakcjonowana wykonywaną pracą.

STAROSTA
ZASTUPSTVO

Wróciłam do ojczyzny i mimo rozgoryczenia, jakiego zaznałam zaraz na początku – nie żałowałam swojej decyzji. Mimo wszystko znalazłam się na mojej ziemi, w moim kraju i kochałam go takim, jakim był – przecież byłam i zostałam Polką. Nie zawsze mamy taki dom, jaki sobie wymarzyliśmy. Cieszę się, że doczekałam innych czasów, chociaż też niedoskonałych.

Pani Blanka śmiejąc się, powiedziała jeszcze:

– Pani Izo, znowu jestem tu w Jeleniej Górze ,,obca". Mieszkałam ponad pół wieku w Koszalinie. Miałam tam przyjaciół, znajomych, znałam każdy kącik. Kiedy stuknęła mi osiemdziesiątka, moja jedynaczka Marzenka nie dawała mi spokoju. Nalegała, żebym przeprowadziła się do Jeleniej Góry, bo: ,,potrzebujesz opieki, wsparcia, pomocy i nie możesz tak daleko mieszkać sama". Przyjechałam tutaj, ale trochę żałuję, bo zostawiłam w Koszalinie wszystko, czym żyłam przez parę dziesiątków lat. Tęsknię za tym. Z drugiej strony cieszę się, bo mam tu najbliższych członków rodziny.

Ot wieczna rozterka duchowa.

* * *

Dziś pani Blanka ma 86 lat. Wciąż sprawna i pełna życia. Jak zawsze jest dobrym, szlachetnym człowiekiem. Pogodna, nie narzeka na los, chociaż w życiu nie miała lekko. Cieszy się rodziną. Pomaga wychowywać prawnuka z zespołem Downa. Lubi ludzi, wciąż jest ciekawa świata i wciąż czyni dobro. Na przykład: adoptuje ze schroniska chore psy i opiekuje się nimi.

Pani Blanka Ukleja należy do ,,Sybiraków", ,,Rodzin Katyńskich" i stowarzyszenia ,,Klubu pod Baobabem". Członkowie tego ostatniego co dwa lata zjeżdżają się do Wrocławia z różnych stron świata. Jest ich coraz mniej, to już, niestety, odchodząca generacja. Pani Blanka uczestniczy w tych spotkaniach. Po każdym zjeździe wydawany jest biuletyn, a w nim wspomnienia, fotografie, okolicznościowe wiersze i artykuły.

Zawsze jestem obdarowywana przez panią Blankę tym pisemkiem i czytam go ze wzruszeniem. Ile tam tęsknoty za ojczyzną, gorzkich wspomnień tułaczki i przyjaznych uczuć do ludzi, których połączyła kiedyś wspólna niedola.

Spisałam te wspomnienia, bo są dokumentem cierpień naszego narodu, a świadków naocznych ubywa. Kiedy ich zabraknie – opowieści umilkną.

Maria Suchecka

Brunet

Nudziła się. Przyjechała tutaj opiekować się dziećmi, ale dzieci nie było, bo wywożono je rano do szkoły i przedszkola. Miała codziennie wiele godzin do swojej dyspozycji. Kiedy w kościele na Mszy św. dla Polaków usłyszała komunikat, że Konsulat w Malmo przyjmuje zgłoszenia chętnych do pracy w komisji wyborczej, zgłosiła się bez wahania. Wysłała stosowny wniosek, ksero paszportu, wskazała obecny adres i krótko czekała na rezultat. Znalazła się w komisji wyborczej.

Nad wejściem do siedziby towarzystwa skupiającego Polaków powiewała polska flaga, lokal wyborczy był przygotowany, jak należy, a obok sali, do której wchodzili wyborcy z całej południowej Szwecji, był pokój, w którym przywitali się z przystojnym, sympatycznym konsulem, jego ciemnowłosą, miłą i powściągliwą żoną a także z gospodarzem tego obiektu. Przedstawili się sobie wzajemnie, a właściwie prawda była taka, że tylko Zofia przedstawiała się innym członkom komisji, bo pozostali doskonale się znali z polonijnych spotkań, kontaktów towarzyskich oraz z imprez, organizowanych przez międzynarodową szkołę, do której uczęszczały ich dzieci, szlifując język angielski, w którym odbywało się nauczanie.

Teraz siedziała za długim stołem przykrytym zielonym suknem. Kobiety i mężczyźni z komisji, w większości młodzi, nie więcej niż czterdziestoletni, bardzo skupieni, najwyraźniej traktowali te wybory na obczyźnie z absolutną powagą. Z tej grupki rzucił jej się w oczy przystojny brunet. Obrzuciła go spojrzeniem przekonana, że trafił tu przez pomyłkę. Wyglądał jak Turek albo Arab, smoliste brwi zbiegały się u nasady nosa, czarne włosy okalały smagłą twarz. A jednak to nie pomyłka, okazał się Polakiem w pełni uprawnionym do głosowania. Był jakiś mroczny, skupiony, naznaczony wyraźnym przygnębieniem.

Nie minęły dwa, trzy tygodnie, kiedy znów go zobaczyła, tym razem w kościele przy franciszkańskim klasztorze w Angered, Wchodząc do środka przez rozległy hol, mijało się po lewej stronie kafeterię, a nieco bliżej toalety i szatnie, do czego, przyjeżdżając z Polski, trudno się było przyzwyczaić. Ci przyjeżdżający z kraju nie nawykli do sanitarnych wygód w ich miejscach kultu. Łatwo było zorientować się, kto zajmuje miejsca w amfiteatralnie usytuowanych ławkach, omiatając je jednym spojrzeniem. Brunet, jak go nazywała w myślach, wspominając wybory, siedział w drugim rzędzie środkowego sektora ławek. Był sam. Inni zajmowali miejsca parami, niekiedy całymi familiami, tylko młode małżeństwa po przyklęknięciu przed tabernakulum znikały w bocznych kapliczkach po obu stronach tej niedużej świątyni, gdyż to były pomieszczenia, w których dzieci nikomu nie przeszkadzały, zachowując się swobodnie, popijając soczki i krusząc biszkopty.

Zofia zwykle po nabożeństwie natychmiast kierowała się w stronę parkingu, skąd odjeżdżała z córką i jej dziećmi. Tym razem Agata zaproponowała:

– Chodźmy do kafeterii, może będą pączki na polskiej recepturze. Mamo, wypijemy kawę, a dzieci zjedzą lody.

Maluchom nie trzeba było dwa razy powtarzać zachęty. Popędziły do kawiarenki, Mila zajęła stolik, Czarek ustawił się w kolejce i niebawem cała czwórka siedziała, pałaszując pączki, bo przeczucie ich mamy nie zawiodło. Polska piekarnia z Göteborga dostarczyła puchate pączki, z których Czarek za każdym razem wydłubywał nadzienie z marmolady, a ,,pustych" pączków nie było. Chłopiec wolał szwedzkie wypieki o tej samej nazwie, ale okrągłe jak precle z dziurką w środku i tylko nazwą oraz pulchnością przypominały polskie pączki, z tym że nie było w nich marmolady.

– O, witaj, Agato, tym razem nie jesteście w kościele na Heden? – tymi słowami witał nas Brunet, który też wstąpił na kawę, a okazał się kolegą mojej córki z jej poprzedniej pracy w wielkim wrocławskim supermarkecie. Zobaczył nas i postanowił odświeżyć znajomość.

– A ty tu skąd? Przecież wyruszyłeś na budowę do Islandii – zdziwiła się Agata.

– Dawne dzieje, już wróciłem.

Dzieci zjadły pączki i lody, my dopiliśmy kawę i widząc zniecierpliwienie maluchów, które nudziła rozmowa dorosłych, ruszyliśmy do auta w towarzystwie Pawła, bo jak się okazało, tak Brunet miał na imię.

– Przyjedź do nas, pogadamy – zaprosiła Agata znajomego do nas, a on chętnie przyjął zaproszenie. – Oczywiście z Sylwią – dodała moja córka.

– No, to będzie trudne, a właściwie niemożliwe, bo już nie jesteśmy razem.– padła niewesoła odpowiedź.

Agata już nie odezwała się ani słowem, podała znajomemu wizytówkę zapewniając, że dla niego znajdzie chwilę każdego dnia, który wskaże przez telefon.

* * *

Mijały tygodnie i miesiące, a Paweł nie dawał znaku życia, aż pewnego dnia po powrocie z pracy Agata powiedziała, że będą mieli gościa. Gdy Zofia już wiedziała, kiedy Paweł ich odwiedzi, ugotowała krupnik, nadziała kurczaka, upiekła babkę piaskową według niezawodnego przepisu i ułożyła drwa na kominku w salonie. Czuła, że temu urodziwemu mężczyźnie doskwiera na obczyźnie samotność, że odrobina domowego ciepła może być mu bardzo potrzebna. Nakryła do stołu, czekając, aż Agata wróci z dziećmi i zaproszonym gościem. Kołatały jej w głowie słowa, zasłyszane przy rozstaniu: ”… bo już nie jesteśmy razem”. Doskonale rozumiała stan opuszczenia. Jej mąż zostawił ją dla ognistej Greczynki, kiedy pojechał pewnej jesieni na zbiór pomarańczy.

Obiad wszystkim smakował. Zofia ulokowała zużyte nakrycia w zmywarce, podała czerwone słodkie wino, dzieci wyprawiła do górnego salonu nad garażem, gdzie miały dużo przestrzeni, wielki telewizor i moc zabawek. Sama też chciała się oddalić, żeby przypilnować od-

rabiania lekcji i nie krępować zwierzeń tych młodych ludzi, ale Paweł, wyczuwając jej zamiar, powiedział;

– Niech pani zostanie, to, co chcę opowiedzieć, to żadna tajemnica. Może usłyszę jakąś dobrą radę?

Matka Agaty usiadła z kieliszkiem wina w fotelu przy kominku, a oni zajęli miejsca przy małym stoliku blisko ognia.

– Wyjechałem, żeby zarobić na mieszkanie. Wysyłałem pieniądze, przyjeżdżałem na każde święta. Kiedyś jednak całkiem nieoczekiwanie dostałem wolne i przyjechałem niezapowiedziany do domu, już do nowego mieszkania. Nie mogłem się doczekać, żeby zobaczyć, jak moja żona je urządziła. Nie miałem oczywiście kluczy. Zadzwoniłem domofonem do sąsiadów, żeby zrobić niespodziankę. Przywiozłem butelkę szampana, zabawki dla dzieci, kolczyki dla żony. Osłupiałem, jak drzwi otworzył jakiś facet. Nigdy go wcześniej nie widziałem. W harlekinach często bywa tak, że żonę zabiera najbliższy przyjaciel, albo odwrotnie, męża uwodzi najbliższa przyjaciółka. To był obcy mężczyzna, jak się okazało, świeżo rozwiedziony jej nowy szef z firmy, do której się przeniosła.

Paweł nie przypuszczał, że coś takiego można przeżyć. Znali się jeszcze z liceum. Byli, jak to się mówi, z jednego podwórka łączącego dwa bloki. Ich miłość przetrwała lata studiów w innych miastach. To było nie do wybaczenia. Nie zastał dzieci, bo na czas tego randkowania z szefem zaprowadziła je do swojej matki. Paweł zostawił wszystko: prezenty, mieszkanie, na które ciężko pracował, nie zawalczył nawet o dzieci. Poszedł się upić i wtedy w knajpie spotkał kolegę. Też z podwórka. Ten już dwa lata pracował w Islandii.

– Tam Amerykanie z Kanadyjczykami budują hutę aluminium – kolega zaczął namawiać Pawła – o mieszkanie nie będziesz się martwił, tam pracownicy zajmują jednoosobowe pokoje w trzykondygnacyjnych blokach. Zatrudnionych jest jakieś półtora tysiąca ludzi, w tym sporo Polaków. Dobrze płacą. Niektórzy nie wytrzymują chłodu, długich nocy, białej śnieżnej pustyni wokół bazy, rozłąki z bliskimi i wyjeżdżają.

Wolne miejsce nie czeka długo na chętnych. Wiem, że właśnie trafia się wolne miejsce. Mówię ci, jedź ze mną

Paweł natychmiast wziął namiary i wysłał przez Internet swoje CV. Został przyjęty, a ponieważ doskonale znał angielski, nie musiał się przyuczać, żeby się skomunikować w sprawach zawodowych ze zwierzchnikami i kolegami.

– Tam była absolutna wieża Babel. Byli Afrykańczycy, Azjaci, Europejczycy – Paweł snuł wspomnienia. – Hotel był świetnie wyposażony, jedzenia w bród, alkoholu jeszcze więcej. Zapijaliśmy rozłąkę i swoje zawody piwem, whisky, tekilą, czym się dało. Brakowało nam kobiet. Niektórzy już sprowadzili swoje żony, już kupili domy, ale strzegli swoich rodzin z zazdrością. Wiedzieli, że dla wyposzczonych mężczyzn nawet zwykła kura domowa wyda się modelką albo seksowną aktorką Nie zapraszali tych samotnych nawet na święta. Nas, samotnych, nie bali się tylko księża i mniszki z czeskiej misji. Zakonnice zajęły wzniesiony bardzo skromny budynek, który dla nich stał się klasztorem. W wydzielonym pomieszczeniu urządziły kaplicę, gdzie dwaj księża na zmianę odprawiali msze, zaproszeni – przychodzili ,,po kolędzie'', poproszeni – spowiadali. W niedziele z naszych bloków trzy autobusy wiozły ludzi do kościoła. Nigdy nie byłem za bardzo wierzący, ale tutaj – po prostu ciągnęło mnie do tych dwóch facetów w sutannach, którzy wyrzekli się wszystkiego, żeby wyjechać na misje i na dodatek – byli pogodni i szczęśliwi. Wyciszyłem się, uspokoiłem. Nie zrobiłem w sądzie, jak poleciałem na sprawę rozwodową, żadnej zadymy. Nie powiem, że jej przebaczyłem, ale uspokoiłem się na tyle, żeby zrozumieć, że dzieci powinny zostać z matką, bo nie wiadomo, gdzie mnie jeszcze poniesie, gdzie znajdę miejsce, w którym zupełnie uwolnię się od tego, co mnie spotkało. Wytrzymałem trzy lata, ale obrzydł mi lodowiec, którego mogłem oglądać każdego dnia, obrzydła mi ta śnieżna pustynia i to męskie piekło. Zarobiłem tyle, że mogłem przyjechać do Szwecji i próbować żyć dalej.

Paweł kończył swoją opowieść. Tu kobiety były do wzięcia wszędzie, w porcie, w bistrach, a nawet w wielkich marketach, różnej rasy,

różnej narodowości. Wyrwane ze swoich środowisk, uwolniły się też z wszystkiego, co tam stanowiło tabu. Seks był ofertą do łatwego konsumowania, ale im łatwiejsze i krótsze były to związki, tym mniej dawały zadowolenia. Znudzony, zniesmaczony samym sobą, zaczął jeździć coraz częściej na msze do Angered. Potem w każdą niedzielę. Potem na rekolekcje i dni skupienia. Lubił siadać w miejscu, z którego mógł widzieć młode rodziny z dziećmi w tych bocznych kapliczkach.

– Ale mi u was dobrze. Rozgadałem się, najważniejsze zostawiłem na koniec. Następnym razem spotkamy się u mnie, w moim mieszkaniu. Będzie nas dużo więcej. Zapraszam was z dziećmi. Muszą poznać się z moimi córeczkami. Mojej żonie nie wyszło z tym szefem. Okazał się draniem. Zostawiła go.

– I co, przebaczyłeś? – wyrwało się Agacie.

– Przecież przez ten czas i ja nie żyłem w celibacie. Ona też miała mi co darować. To już się nie liczy. Zaczynamy od nowa. Z naszymi córkami, które nareszcie mają i matkę, i ojca. Zapraszam, bo chcę z wami uczcić to pojednanie. To nie sztuka – zabłądzić, sztuka odszukać właściwy trop – podsumował swoją opowieść nasz gość.

Maria Suchecka

Podwójne zaślubiny

To nie on oglądał się za dziewczynami, to one uganiały się za nim, bo uśmiechnięty, smukły, wysoki. Więc ani w gimnazjum, ani w liceum, ani na studiach nie był singlem. Najczęściej u jego boku uwieszone były jasnowłose, długonogie laski. I nagle stało się coś nieoczekiwanego. Zaczął studiować na japonistyce, więc siłą rzeczy z kumplami wstępowali do azjatyckich knajpek, brali udział w Dniach Kultury Japońskiej, zapisali się na kurs egzotycznego dla nich tańca, po którym ubrani w kimona, ucharakteryzowani na skośnookich tancerzy, dawali popisy, ilekroć nadarzyła się ku temu okazja. I przy takiej właśnie okazji w wielojęzycznej gromadzie ludzi z różnych filologii zauważył dziewczynę, która zatrzymała jego wzrok. Szczupła, filigranowa, z gładko uczesanymi, czarnymi jak heban włosami w niczym nie przypominała tych dziewczyn, które go otaczały.

Była powściągliwa, wręcz nieśmiała. Kiedy wiele się nie namyślając, pewien sukcesu, rozpoczął szturm do dziewczyny o alabastrowej cerze i skośnych oczach, ze zdumieniem stwierdził, że jest całkiem inna, niż jego dotychczasowe, łatwe zdobycze. Ona go onieśmielała. Nie dopuszczała do żadnego spoufalenia się, utrzymywała dystans, ale nie można powiedzieć, że chłodny. Raczej wyczuwał z jej strony ciepłe zainteresowanie i zarazem kategoryczny zakaz przekraczania granicy intymności. Musiał liczyć dni, tygodnie, miesiące, zanim dała się zaprosić na kawę, do kina, zanim dotknął jej ręki, musnął włosy, pocałował. Była niezwykle interesująca, wręcz intrygująca, bo, jak powiedział ktoś – wywodziła się z innej bajki. Niekiedy czuł się jak trubadur zabiegający o względy księżniczki.

Latem zaprosił ją do domu. Poczuła się w kotlinie okolonej górami jak w domu, gdyż i pejzaże jej rodzinnych stron były takie same. Często-

wana polskimi potrawami, zachwycała się żurkiem, gołąbkami, a podczas wizyty u babci Dominika z ciekawością rozpytywała go, co wchodzi w skład tej gęstej, aromatycznej zupy, a był to barszcz ukraiński. Z ciast najbardziej upodobała sobie szarlotkę.

Była artystką. Fascynowała ją architektura, muzea, galerie. W Japonii zrobiła licencjat z grafiki użytkowej, magisterium miała robić w Amsterdamie w ramach międzynarodowych programów edukacyjnych, ale w którejś fazie studiów zafascynował ją polski plakat, więc postarała się, by kontynuować i kończyć studia w Poznaniu. Potem było zaproszenie Dominika do jej rodzinnego miasta, długi lot, który jego rodzice śledzili na ekranie komputera. Rozmowy przez Skype umożliwiały bieżący dopływ wrażeń, a te były oszałamiające. Sterylna czystość w domu, nastrój, jaki towarzyszył wyprawie do świątyni, wędrówka przez rezerwat przyrody, wyjazd do niedalekiego Sapporo, pałeczki w codziennym użyciu, dużo jarzyn, dożo ryb, dużo owoców morza. I żadnego wylewnego padania sobie w ramiona. Powitania następowały z utrzymaniem dystansu, ograniczone do ukłonu i skinienia głowy.

I tak minęły trzy lata. Zawładnęła nim głęboka pewność, że nigdy nie spotkał nikogo tak niezwykłego i nigdy nikogo nie pokocha tak mocno. Dlatego z pieniędzy, zarobionych na wszystkie możliwe sposoby w przerwach między zajęciami na dwóch kierunkach, otrzymanych od rodziców, dziadków i od chrzestnego, przeznaczonych na studenckie wydatki w akademickim mieście, zaoszczędził tyle, żeby móc kupić pierścionek zaręczynowy, wytropić koło Skoczowa śliczny myśliwski pałacyk, zaprosić tam Naomi i poprosić ją o rękę. Oświadczyny zostały przyjęte i nadszedł czas zaślubin.

Po dniach deszczowych i chłodnych nastała piękna pogoda. Pałac witał gości weselnych w pełnym blasku słońca. Nadjechali z różnych stron, by przeżyć z Naomi i Dominikiem dzień ich wesela. Za kilkanaście godzin, dobrze po północy Maciej, brat Pana Młodego przypomni, że ci, którzy dziś połączyli się na całe życie, poznali się 19 stycznia 2012 roku. Maciej, obok siostry Panny Młodej, jest świadkiem na ich ślubie

i obwieszcza, że tak naprawdę poznali się i pokochali dzięki niemu, gdyż to on jako dziecko oglądał z wielkim zainteresowaniem japońskie kreskówki, potem upodobanie do nich zaszczepił swojemu młodszemu bratu, by w końcu zafascynować się Krajem Kwitnącej Wiśni. On nie spełnił marzenia i wybrał się na studia (stosunki międzynarodowe) do Wrocławia, podczas gdy jego brat zdecydował się na japonistykę. To samo zostało wygłoszone w języku japońskim przez tłumaczkę i po tym wprowadzeniu wszyscy obejrzeli film. Najpierw były slajdy z dzieciństwa i młodości Naomi i Dominika, a potem sekwencje filmowe z najświeższych zdarzeń.

Kilka godzin temu goście weselni zakwaterowali się w wygodnych pokojach pałacu, po czym zostali przywołani do autokaru, który powiózł ich do pięknego barokowego kościoła po wezwaniem Wniebowzięcia Marii Panny. Kościół położony jest w samym centrum, w najstarszej części miasta. Młodzi jechali samochodem ustrojonym herbacianymi różami. Słońce wydobywało złocisty blask z kwiatów, które do wieczora, a i następnego dnia zachowywały świeżość, wciąż zdobiąc maskę samochodu.

W orszaku weselnym podążały trzy pokolenia krewnych Dominika a także rodzice Naomi, którzy kilka dni wcześniej zostali przez narzeczonych powitani na lotnisku czeskiej Pragi, a przylecieli z Japonii wraz z siostrą Naomi z Sapporo. Obie Japonki zjawiły się w kościele ubrane w kimona, ojciec Naomi poprzestał na zwykłym garniturze. Młodą, radosną część weselników stanowili koleżanki i koledzy ze studiów narzeczonych, a nawet jeszcze z licealnych czasów Dominika.

Zabrzmiała muzyka organowa i ksiądz ruszył do drzwi świątyni, by uroczyście poprowadzić Młodą Parę do stóp ołtarza. Naomi, filigranowa, czarnowłosa, wyglądała prześlicznie w pięknej, białej sukni z trenem, a koronkowe aplikacje i cieniutki tiul doskonale podkreślały delikatność jej urody. Jasnowłosy, smukły Dominik nieprzerwanie skoncentrowany był na swojej dziewczynie i ani na moment nie wypuszczał z ręki jej dłoni.

Liturgia zawierała czytania mszalne, homilię kapłana, akt złożenia przyrzeczenia małżeńskiego, wygłoszonego przez Parę Młodych w języku polskim, wymianę obrączek oraz Komunię Świętą. Młody, rzec można – młodzieżowo prezentujący się ksiądz, dłuższe swoje wystąpienia wygłosił w języku polskim i angielskim, co ułatwiło zrozumienie liturgicznych zdarzeń gościom z zagranicy. Cały czas rozbrzmiewała przepiękna muzyka: organy, gra skrzypcowa w wykonaniu znakomitego skrzypka oraz solowy śpiew sopranistki. Kiedy akt zaślubin został dopełniony, zebrana studencka młodzież wyraziła swoją radość głośnym aplauzem. A za drzwiami kościoła, który Państwo Młodzi opuścili w takt Marsza Weselnego Mendhelsona, czekały na nich żywiołowe życzenia, gratulacje, kwiaty i prezenty. Co prawda narzeczeni w zaproszeniach ślubnych wyrazili nieśmiałe życzenie, by zamiast kwiatów obdarować ich słodyczami, to jednak ich pragnienie nie do końca było spełnione, bo wręczano wiązanki i smakołyki, a nad rozradowaną grupką szybowały dwa drony, z których jeden, wlatując do kościoła, rozproszył nad głowami weselników drobne iskierki. I nie trzeba było martwić się, kto uprzątnie ryż, wysypany obficie na pomyślność wraz z drobnymi monetami, bo jak tylko weselnicy opuścili przykościelny plac, przyfrunęły gołębie na rozsypany poczęstunek. I zaczęły raczyć się ziarenkami ryżu.

Kiedy Młodzi i goście weselni podjeżdżali do pałacu, tam między dwoma kolumnami ustrojonymi szerokimi, białymi szarfami czekali oboje rodzice z chlebem i solą. Naomi i Dominik wzięli chleb, umoczyli kawałki pieczywa w soli i spożyli ten niezbędny dla życia pokarm – na szczęście, dostatek i pomyślność, a potem wypili do dna wódkę z kieliszków, które po tym toaście poszybowały na trawnik, rzucone przez Parę Młodą za siebie. Piękne marmurowe schody powiodły weselny orszak do sali bankietowej.

W holu każdy mógł na eleganckiej niedużej planszy odnaleźć swoje nazwisko na diagramie, który zawierał usytuowanie stołów ze wskazaniem, kto w którym miejscu będzie uczestniczyć w weselnym przyję-

ciu. Przy stole głównym miejsca zajęli młodzi małżonkowie z rodzicami i rodzeństwem, a z lewej strony ulokowali się przedstawiciele obu rodów ze strony Dominika, zaś po przeciwległej stronie rozmieścili się studenci z japonistyki oraz koleżanki i koledzy z liceum, rozproszeni po różnych uczelniach, a niektórzy już nawet pracujący. Kelnerki i kelnerzy zaserwowali rosół, potem mięsiwa ze śląskimi kluskami i pieczone ziemniaki. Dzbanki z sokami i cytrynadą pozwalały orzeźwić się po tych emocjach. Na deser zaserwowano lody, a na życzenie obsługa z bufetu w hallu donosiła kawę lub herbatę, lampki wina i wypieki cukiernicze. W tym również miejscu na piętrowych paterach kusiły ciasta, a obok – owoce.

Kiedy pierwszy głód został zaspokojony, wodzirej zaprosił wszystkich do sali tanecznej. Jak każe tradycja, tańce zainaugurował walc w wykonaniu Państwa Młodych. Zaprezentowali cudny kunszt taneczny, bo przygotowali się starannie do tego walca, pobierając lekcje u choreografa. Zatańczyli przepięknie, lekko, z bezbłędnie wykonanymi figurami, a potem i pozostali goście weselni zaczęli wirować na parkiecie.

Po ciepłych daniach na stole zjawiały się półmiski z wędlinami, sałatkami, śledzikiem i łososiem, goście wznosili toasty, domagali się słodzenia gorzkiej wódki, więc pocałunki Naomi i Dominika robiły się coraz bardziej czułe, o ile jest to możliwe u pary tak bardzo w sobie zakochanej przecież nie od dziś.

W pewnym momencie wszyscy zostali zaproszeni do trzeciej sali, gdzie goście zajęli miejsca na ustawionych rzędem eleganckich fotelach, a w centralnym miejscu pod ścianą zobaczyli stolik z tajemniczymi przedmiotami. Były to dwie smukłe, ustrojone butelki, płaskie czarki, a obok – zwinięty w rulon manuskrypt. Wszyscy zamarli w oczekiwaniu, a u wejścia do tej sali zjawili się Państwo Młodzi, ubrani w tradycyjne japońskie stroje. Szczególnie bogaty okazał się strój weselny Naomi. Na jej kimono narzucony był okazały płaszcz z bogatym haftem o intensywnych kolorach. Pani świadek, czyli jej siostra objaśniała po

japońsku przebieg rytuału, a tłumaczka (w „cywilu" lektorka na japonistyce) przybliżała zebranym tekst w języku polskim. Młodzi mieli teraz przeżyć zaślubiny według najstarszego, liczącego w Japonii pięć wieków rytuału.

Na wstępie czarki napełniono wodą z butelek. Woda została przywieziona z Japonii oraz z domu rodziców Dominika. Tak jak w jeden strumień połączyły się obie wody, tak w tej chwili połączyły się rody Naomi i Dominika. Młodzi wypili wodę na znak, że już stają się jednością. Następnie czarki zostały po trzykroć napełnione sake, a pierwszy toast młodzi spełnili na cześć przodków, którym zawdzięczają życie i przekazane dziedzictwo materialne i duchowe. Każdorazowo czarki dwukrotnie podnosili do ust, by wypić za trzecim uniesieniem ich do ust. W podobny sposób były one napełniane sake. Drugi toast wznieśli za miłość, za swoje własne zdrowie i pomyślność, a także za szczęście wszystkich świadków ich radosnych zaślubin. Trzeci toast rzutował w przyszłość, bo adresowany był do tych, których powołają do życia, którzy dzięki nim staną się następnym pokoleniem.

Kolejnym etapem ceremonii było wygłoszenie przysięgi małżeńskiej. Podobnie jak kilka godzin temu w kościele, tak teraz przyrzekali sobie miłość, wierność, wzajemne oddanie, trwanie przy sobie na dobre i na złe, wspieranie się w trudach i dzielenie radością – aż do końca życia. Co zostało wygłoszone po polsku i japońsku, zostało spisane na papierowym zwoju, Państwo Młodzi złożyli podpisy, wiarygodność tego ślubowania potwierdzili też swoimi parafkami świadkowie. Młoda małżonka do swojego nazwiska dodała nazwisko męża, co za kilka tygodni przysporzy im nieco kłopotów, gdyż bilet na lot do Rzymu, ufundowany przez jednego z kolegów w prezencie ślubnym, był wystawiony na jej nazwisko rodowe.

Kiedy doniosły akt zaślubin został spełniony, Państwo Młodzi obdarowali wszystkich tradycyjnymi cukierkami ułożonymi na prostokątnych papierowych tackach. Wszyscy zebrani spożyli ten delikatesik, by ani oni, ani poślubieni małżonkowie nigdy nie doznali głodu czy

niedostatku. W finale ceremonii młodzi małżonkowie, wspomagani przez świadków, przekazali wszystkim zebranym kwadratowe czarki napełnione sake. Wszyscy unieśli się z miejsc i wznieśli gromki toast po japońsku KAMPAI, co znaczy na zdrowie, a czarki pozostały w rękach gości weselnych na pamiątkę tego dnia.

I dalej trwały tańce, ucztowanie do białego rana z przerwą na popis tańca nowoczesnego Piotrusia dziewięciolatka, nagrodzony entuzjastycznie brawami i gratulacjami przez studencką młodzież, na pojawienie się piętrowego tortu weselnego udekorowanego herbacianymi różami, na emisję wspomnianego filmu i na wjazd płonącego udźca za zwierzęcia, które, jak powiedziano, jeszcze wczoraj brykało po kotlinie, w której wznosi się weselny pałac. Naturalnie odbyło się tradycyjne rzucanie bukietem panny młodej, by wylosować, która z panien pójdzie najprędzej w zamęście, rzucanie krawatem pana młodego z tym samym zamiarem adresowanym do kawalerów, a także testowanie zgodności charakterów Młodej Pary.

Najmłodszy stryj Pana Młodego musiał z rodzinką wcześnie odjechać w niedzielny poranek, by zdążyć na lot do domu. Nie spodziewając się, że zastaną na nogach kogoś z weselnych gospodarzy, ze zdziwieniem kwadrans przed godziną ósmą spostrzegli, jak w oranżerii na pierwszym piętrze grupka studentów rzuca się w ramiona rodziców Dominika, wylewnie wyrażając uczucia zachwytu i wdzięczności. Na ten widok seniorka rodu zakrzyknęła: Wy już wstaliście? Na co mama Pana Młodego odrzekła: Ależ myśmy się jeszcze wcale nie kładli, nie mogę zagonić to rozbawione towarzystwo do pokoi.

Wreszcie w pałacu zapanowała cisza, ale już o dziesiątej w sali restauracyjnej zjawili się chętni na śniadanie. Chętnych w przeddzień dyskretnie spisywali rodzice Pana Młodego, gdyż było wiadomo, że ci weselący się do rana zechcą odespać przetańczoną noc. Nie tylko przetańczoną, ale też przekoncertowaną noc. Najmłodszy brat Pana Młodego przywiózł gitarę i nad ranem rozbrzmiewała muzyka w wykonaniu każdego chętnego, kto nie posiadał tak zwanego drewnianego ucha.

W samo południe w skrzydle na zapleczu pałacu rozpoczęły się poprawiny: w dawnych stuleciach była to zapewne dworska stodoła lub obora, teraz przystosowana na rustykalne grillowisko z ławami, zydlami, drewnianymi stołami i drewnianymi krokwiami, na których umocowano kolorowe balony. Zielony dywan wprowadzał po łagodnej pochylni wprost na piętro, gdzie po lewej stronie kusił barek kawowo – herbaciany z paterami ciast, po prawej – beczka piwa, żurek z kiełbasą i jajkiem w gorącym kociołku, dalej w dwóch pojemnikach bemarowych czekały na biesiadników gorące pieczone pierożki oraz bigos, a na wielkim ruszcie nad paleniskiem opiekały się płaty mięsiwa, kiełbasy i kaszanki. Nie brakło rzecz jasna weselnej okowity, win i kartonów z napojami. Na tę część biesiadowania wybudzili się też rodzice oraz siostra Naomi, a także pozostali weselnicy, a niektórzy, nie da się ukryć, szukali skutecznego sposobu na uśmierzenie kaca. I tak poprawiano wesele do godziny dziewiętnastej.

Kto musiał odjechać w swoją stronę, żegnał się serdecznie i wylewnie. Siostra Naomi została odwieziona do czeskiej Pragi na samolot, którym miała z przesiadkami dolecieć do Japonii. Jej rodzice zostali zaproszeni do zwiedzania Krakowa i okolic, po czym w asyście Młodej Pary i rodziców Dominika pojechali do Poznania, gdzie ich dzieci poznały się, pokochały, i gdzie mieszkają, budując swoje wspólne życie. Ostatnie trzy dni pobytu w Polsce rodzice Naomi spędzili na zwiedzaniu stolicy Polski. Stąd, z Warszawy odlecieli przez Seul do Sapporo.

Najpiękniejsze na tej uroczystości było to, że Państwo Młodzi w sposób nieskrępowany wyrażali swoje wielkie uczucie, że byli otoczeni miłością, przyjaźnią i podziwem, że królowała serdeczność i napawająca optymizmem pogoda ducha. Zaś jedni i drudzy rodzice najtrudniejsze godziny przeżyli wówczas, kiedy ich dzieci pojechały na poślubną sesję zdjęciową, a oni zostali skazani na swoje towarzystwo bez pośrednictwa tłumaczy, czyli wynajętej lektorki i swoich własnych dzieci. Przywoływali znajomość angielszczyzny i niezawodną meta mowę, którą są przyjazne gesty i serdeczne uśmiechy.

Spis treści

Zofia Prysłopska
O swoich i obcych refleksje autokrytyczne 5

Robert Bogusłowicz
Gorzki smak truskawek 9

Krystyna Brzezińska
Z życia wzięte 21

Halina Burkowska
Pierwszy dzień Nowego Roku 1989 25

Grażyna Domagalska
Zezowate spojrzenie 36

Alfreda Dziedzic
Ta, która sieje DOBRO 43

Anna Hercik
Pewna historia 48

Teresa Jurczyk
Wala lubi prasować 52

Lidia Katarzyna Komsa
Pierwsza pomoc 56

Janina Lozer
Serce Janka 62

Urszula Musielak
ODSŁONA 1 – Podróż 66
ODSŁONA 2 – Pierwsze zauroczenia 66
ODSŁONA 3 – Pierwsze wrażenie sceniczne 67
ODSŁONA 4 – Pomarańczowe buty 70

Danuta Mysłek
Świat oczami Antosia 71

Ewa Olszewska
Pejzaż jesienny z miłością w tle ... 79

Barbara Anna Pawłowicz
Wspomnienia z ferii zimowych w Rumunii w 1983 r. 85

Barbara Anna Pawłowicz
Reminiscencje historyczno – turystyczne 94

Ewa Pelzer
Kto jest swój, a kto obcy? 98
Szukajcie, a znajdziecie 103

Izabela Rochnowska
Jaki znak Twój? 106

Maria Suchecka
Brunet 117
Podwójne zaślubiny 124